Nr. 34. Poznań, Niedziela 19-go Sierpnia 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1 markę;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***59 cent.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,65 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***1 złr.,*** *za Oceanem* ***1 dolar.***
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Mądry Polak po szkodzie!

Przed dwoma laty mniejwięcej, gdy z pewnej strony poruszono myśl założenia *polskiej fabryki papieru*, i gdy przeprowadzenie projektu tego uznano w naszem położeniu za zbyt trudne, a nawet za zupełnie niemożliwe, wystąpiła „Praca“ z projektem, ażeby w miejsce tego nie dającego się na razie zrealizować marzenia — zabrano się chociaż do utworzenia *Spółki wspólnego zakupna papieru dla gazet naszych.* Wykazaliśmy też wówczas liczbami, że taki projekt łatwiej by się dał w czyn zamienić, a nawet mógłby się dobrze opłacać tak poszczególnym wydawcom gazet, jak i społeczeństwu, które nie ma pieniędzy na wyrzucenie. Niestety, jak to zwykle u nas bywa, — nie wywiązała się nawet dyskusya w prasie nad tą sprawą i rzecz sama poszła w zapomnienie.

Teraz chyba obudzili nas z letargu naszego bardzo nieprzyjemnie niemieccy fabrykanci papieru, którzy utworzywszy wielki „ryng“ producentów, podwyższają ogromnie *ceny* papieru. Doszło do tego, że dziś każdy niemal wydawca rozważać musi tę smutną ostateczność, czy wogóle będzie mógł dalej egzystować, czy też nie będzie zniewolony zwalić ciężaru na barki abonentów i ceny prenumeraty podwyższyć? O tem mówią już głośno wydawcy gazet niemieckich, którzy porówno z nami cierpią pod tą samowolą i spekulacyą fabryk papieru i również na seryo noszą się z myślą zakładania spółek *nabywców* papieru, w celu zwalczania niebezpiecznej dla wszystkich gazet chciwości producentów.

Niemieckim wydawcom, co prawda, łatwiej jest zepchnąć nadwyżkę cen papieru na abonentów, bo społeczeństwo niemieckie jest zamożne. U nas inaczej, u nas ogromna większość abonentów gazet liczyć się musi z każdym fenygiem, u nas też zresztą prasa ma ważniejsze zadanie do spełnienia, niż w Niemczech, gdyż służy nie tyle dla zaspokojenia ciekawości szerokich kół, ile dla pouczania i kształcenia społeczeństwa. Prasa u nas jest w całem tego słowa znaczeniu chlebem duchowym społeczeństwa, bez którego społeczeństwo obyć się nie może; u nas prasa nawet *szkołę* zastąpić musi.

W takich warunkach nie zalecałoby się — dopóki ostateczności tej uniknąć można, podrażanie tego chleba duchowego społeczeństwa. I dlatego też w obecnej chwili przypominamy znów dawniejszy projekt utworzenia Spółki celem nabywania papieru wspólnie *taniej*. Może dziś znajdzie on szczęśliwsze przyjęcie!!

S.

Piosnka z dawnych czasów.

W jednym z ostatnich numerów *„Przeglądu Wszechp.“* poruszono myśl wskrzeszenia legionów polskich w związku z armią jednego z mocarstw najmniej interesowanych stanem obecnej niewoli narodu polskiego.

Myśli tej autor nie rozwija szerzej i nie pogłębia; nadmienia on tylko, że, zdaniem jego, należałoby z naszych emigrantów „którzy się marnują dla kraju“, stworzyć takie legiony. Byłoby to więc wojsko, liczące kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy, gotowe w każdej chwili siłą oręża poprzeć nadarzającą się sposobność wyzwolenia naszej Ojczyzny z pęt. Tak przynajmniej pojmujemy myśl autora.

Myśl ta nową nie jest — nowem i niespodziewanem jednak wydać się może jej postawienie w dzisiajszych warunkach.

Myśl sama, powtarzamy, nie jest nową. Nietylko nieśmiertelny wieszcz nasz, Adam Mickiewicz, entuzyazmował się nią i ostatnie wysiłki dogorywającego swego życia poświęcił dla jej urzeczywistnienia, ale w początkach tego stulecia pod Napoleonem formowały się przecież legiony, które szły wszędzie przelewać krew między obcymi w tem mniemaniu, że ją dla dobra ukochanej Ojczyzny przelewają.

Legiony polskie z czasów Napoleońskich były potrzebą czasów i ludzi ówczesnych; naród nasz miał jeszcze z czego czerpać wówczas, miał zasoby materyalne i ludzi, łudził się, że ze strasznych kataklizmów, które przechodziła podówczas Europa, wyłoni się wreszcie wątła łódź naszej niepodległości. Legiony polskie otoczyły imię Polaka chwałą i cudów waleczności dokazały wszędzie, dokąd je bożek wojny zaprowadził, choćby w odległych krajach murzynów, w San Domingo, i, jak mówi poeta, Jabłonowski z legio-

nami zabiegł „aż kędy pieprz rośnie“. Celem dążeń tych legionów była wolność Polski: do tego celu nietylko legiony nie doszły, ale żadnej korzyści realnej krajowi nie przyniosły, choć w ich szeregach byli najlepsi może z ówczesnych oficerów. Przez szereg lat waliły obce kule w piersi mężnych legionistów, niszczyli ich rozmaici wrogowie, przetrzebiła ich żółta febra w Indyach, sztylet i trucizna w Hiszpanii, śniegi i głód w głębokiej Rosyi aż wreszcie prysły iluzye i przestały istnieć legiony.

Ale nie sądźmy ich zbyt pohopnie. Powiedzieliśmy — wywołała je potrzeba czasu, a to słowo tłomaczy wiele.

A choćby z tych pierwszych legionów polskich dziś wnukom i prawnukom żadna inna pamiątka nie pozostała, to świadczyć o nich przecież będzie ta pieśń, przy dźwiękach której każdemu Polakowi serce żywiej bije, pieśń legionów, „*Jeszcze Polska nie zginęła*“.

Oto wszystko, co legiony ze sobą do kraju przyniosły: wzniosłą pobudkę wojskową, w której wszystkie przebyte cierpienia zlały się w jeden tchnący nieprzepartą pewnością i nadzieją akord: „*Jeszcze Polska nie zginęła*“!

Po powstaniu 1830 r., gdy tłumy emigrantów politycznych znowu wszystkiemi drogami dążyły na zachód, ożyła myśl legionów na nowo. Wielokrotnie czynione usiłowania jednak nie doprowadziły do żadnych istotnych rezultatów i po za obręb prób nie wyszły. Tu i owdzie formowano stałe oddziały wojskowe, których organizacya i nazwa miała przypominać owe sławne legiony z doby Napoleońskiej, ale usiłowania te wszędzie spełzły na niczem. Próbowano nietylko we Francyi, ale i w Turcyi.

W powstaniu 1848 roku mieli legioniści polscy z Paryża spieszyć na pomoc braciom w Poznańskiem. Pomoc ta udaremniona została perfidyą rządu francuzkiego.

Jeszcze smutniej zakończyły się próby utworzenia legionów polskich we Włoszech i w Turcyi, gdzie pomimo pozornej życzliwości rządów nie dało się nic zrobić. Kilkaset zmarnowanych nadaremnie egzystencyi — oto cały owoc tych prób.

I dziś znów zjawia się ta sama myśl legionów na obczyźnie.

I przykro i miło jest słuchać tych projektów: miło, bo miłem jest chwilowe złudzenie, że dość by mieć kilkanaście tysięcy dziarskiej wyćwiczonej młodzieży, aby przez szereg cudów waleczności opanowywać fortece, uwalniać więźniów, dyktować warunki dzisiajszym zwycięzcom..... Brzmi to jak jakaś piosnka z dawnych czasów, którą nam matka przy kołysce śpiewała: „Jak urośniesz chłopczyku, weźmiesz szablę ojcowską i uwolnisz Ojczyznę.“ — —

Sama ta myśl tworzenia wojska jest w dzisiajszych czasach piosnką z owej dawnej, odległej epoki. Działa ona mile i rzewnie — ale i przykro się robi, bo rozum co innego mówi, niż owa piosnka z dawnych czasów. Rozum wskazuje na epokę, w której żyjemy: czy z obecnego naszego położenia wysnuć można wniosek, że potrzebą czasu byłoby stworzenie legionów?

Na to odpowiadamy przecząco. Nie mamy ani sił na to, ani też nie widzimy możności i korzyści. Ten projekt — to piosnka z dawnych czasów. „*Dziś*“ nam mówi dość wyraźnie mową milionów bagnetów o bezowocności takiego planu, „*dziś*“ nam inną piosnkę śpiewa, niż naszym ojcom: ono nam mówi, że każdy rząd by sprzedał na wagę żywego mięsa nasze legiony i nasze nadzieje — ono nam mówi nie piosnką pełną poezyi, ale prozą chropowatą i szarą jak szarość dnia powszedniego, że *orężem naszym jedynym jest praca a najbliższym celem — przetrwanie.*

Przed półtora rokiem może na tem samem miejscu omawiała „Praca“ kwestyę niepodległości naszej i wskazała na drogę, zdaniem naszem jedyną, która do tego celu doprowadzi. Państwa zaborcze, jak i europejskie wogóle, będą musiały pod parciem ekonomicznych stosunków zespolić się w związek, w obrębie którego będą musiały być wykluczone wszelkie wojny, tak jak np. wykluczona jest wojna pomiędzy państwami należącemi do Rzeszy niemieckiej z chwilą, gdy organizacya państw oprze się zamiast na czysto politycznej — na ekonomiczej podstawie — z tą chwilą załatwione być muszą wszelkie wewnętrzne spory narodowościowe. My tej chwili musimy doczekać jako żywy naród, musimy czasy ciężkiej niedoli *przetrwać*. Powstanie, legiony — jednem słowem siła oręża, jaką przeciwstawićbyśmy mogli wrogom, jest w porównaniu z ich siłami — zerem.

Zapewne dobrem by było, gdybyśmy jednym rzutem, jedną walką trwającą rok, czy półroku strząsnąć z siebie mogli brzemię wiekowej niedoli, zamiast iść wciąż jak w pomroce nocy i upadać pod ciężarem i pytać wciąż: czy prędko się skończy to jarzmo?...

Piosnka z dawnych czasów odzywa się gdzieś tłumionem echem: *Wstań, otrząśnij kajdany!* a piosnka teraźniejszości brzmi: *Przetrwaj*.

Obywatel, uczący i wychowujący młode pokolenie patryotycznie, młodzież duchem narodowym ożywiona, wszystkie warstwy narodu przy postępowej pracy — oto nasi legioniści.

Obyśmy takich mieli dużo — a *przetrwamy*.

Vester.

O własnej sile.

Sprawa usunięcia wykładów języka polskiego i religii po polsku nasunęła zaraz myśl o potrzebie zwołania wieców. Jest to powszechnie przyjętym a chwalebnym u nas zwyczajem, aby nad każdą wspólnie doznaną krzywdą wspólnie obradować, — to też projekty wieców pojawiły się nie z jednej strony. W projektach tych jednakowoż dwojaki prąd rozróżnić można: jeden prąd wskazuje na wiec, którego celem i zadaniem byłoby ułożenie mniej lub więcej zręcznej rezolucyi i petycyi do rządu, a może do cesarza; — drugi zaś prąd dąży do wywołania całego

szeregu wieców prowincyonalnych po wsiach i miasteczkach, a to nie w celach żadnej rezolucyi lub petycyi, lecz w celach uświadomienia ludowi, że ma sam o sobie myśleć teraz.

Nie trudny wybór między tymi dwoma prądami.

Ten pierwszy -- dążący do manifestacyi ogólnej z petycyą jako zakończeniem całej sprawy, przypomina nam naszą niestety tak rozpowszechnioną wadę wmawiania w siebie, że dużo zrobiliśmy, gdyśmy właściwie nic nie zrobili. Żadnego realnego wyniku wiec taki by nie miał, natomiast tę stratę moralną by nam przyniósł, że szerzyłby między ludem z gruntu fałszywą myśl, iż nasze petycye i protesty mają znaczenie rzeczywistej pracy i że możemy zasypiać spokojnie w poczuciu spełnionego obowiązku, gdyśmy wysłuchali kilka mów i mówek politycznych.

Dalej, taktyka będąca w zwyczaju na tych wiecach szerzy niemniej błędne przekonanie, że drogą jakichś wyjaśnień, petycyi i próśb można dojść do porozumienia z rządem.

Pomiędzy nami a Prusakami raz na zawsze wzniósł się przedział taki, jaki pomiędzy prześladowcą a prześladowanym wznosi z jednej strony poczucie popełnionej niesprawiedliwości, a z drugiej poczucie doznanej krzywdy.

A więc żadnych petycyi, żadnych płaczliwych lamentów!

Rząd pruski w naszem wyrachowaniu politycznem nie istnieje jako strona dająca, tylko jako strona odbierająca nam to, co mocno trzymamy. Więc nie stawać wobec rządu z otwartą dłonią, jakbyśmy coś od niego dostać mieli, — ale z zaciśniętą dłonią, ponieważ utrzymać chcemy to, co uważamy za nasze.

Przedewszystkiem, zanim przejdziemy do skreślenia potrzebnej dziś taktyki, wypada w kilku słowach objaśnić, czem była owa osławiona nauka języka polskiego w gimnazyach.

Był to w pełnem tego słowa znaczeniu humbug, wobec zniesienia którego trzeba raz sobie jeszcze powtórzyć, że wszystkie zdobycze polityki ugodowej, jak i ta zdobycz były fikcyą, o tyle niebezpieczniejszą, że łudziły pozorami rzeczywistych korzyści.

Podręcznikiem *jedynie dozwolonym* była książka Molińskiego i Spychałowicza, ułożona w dwóch częściach; pierwszą część przeznaczyli autorowie dla seksty i kwinty, drugą zaś dla kwarty i tercyi. Pamiętać trzeba o tem, że język polski wykłada się kilku klasom naraz, niekiedy 2, zwykle 4; chodzą przeto na jeden i ten sam wykład uczniowie, różniący się wiekiem o 2—6 lat. Wiemy przecież, co znaczy do lat 20 chociażby rok tylko różnicy. Ponieważ osobnego podręcznika dla wyższych klas niema, przeto używa się w sekundzie i prymie wspomnianej książki część II. przeznaczoną przez autorów dla kwarty i tercyi (powtarzamy to naumyślnie). Kształci się więc w języku ojczystym nasz gimnazyasta 19—22-letni na książce, napisanej dla dzieci 13-letnich!

Dajemy tu małą próbkę tego, co przepuściła rządowa cenzura w podręczniku wymienionym: Na początku zaraz czytamy, że pewien głodny Arab znalazł worek dyamentów, i myślał biedak, że to kasza; dalej znakomity strzelec strzelał tylko ćwiekami i przybijał skórę lisów do drzewa, lisy zaś zostawiwszy skórę, uciekły swobodnie w las. Następuje kilka historycznych anegdotek — rozumie się z historyi przesławnego domu Hohenzollerów — o Fryderyku Wielkim i innych podobnie „sympatycznych“ nam osobistościach; pod koniec, o dziwo, chyba przez omyłkę dostało się tam imię Sobieskiego; nie mowa tam wprawdzie o posłach cesarza, o Wiedniu, ale o... wydrze króla, który podobno płakał, gdy mu ją zabito.

I z takich to podręczników uczono języka ojczystego, a ludność się łudziła, że politycy ugodowi uzyskali jej „ustępstwa“.

Na takich przykładach kształci się w języku i myśleniu ojczystem 20 letni nasz gimnazyasta! Potrącić o literaturę nie wolno; przeczytać jaki utwór poetycki nie wolno, bo jest to rzeczą wielce nielegalną, jak słyszeliśmy z ust profesora Polaka, mającego więcej strachu przekroczyć zakaz aniżeli Niemcy wykładający polskie. Wolno tylko przeczytać powiastkę podobną do powyższych, „omówić treść“ i przetłómaczyć ją na niemieckie; mianowicie to ostatnie „nadzwyczaj jest dla Polaków korzystne i bardzo wiele mogą się nauczyć przytem odrębnych właściwości języka niemieckiego.“ *Poglądu na rozwój języka, na piśmiennictwo szkoła taka nie daje wcale a wcale.*

Gramatycznie pisać i czytać nawet ta szkoła nie uczy. Jeśli młodzież nasza te luki sama wypełnia, to jej tylko w tem zasługa.

A teraz jeszcze nieco o rozkładzie lekcyi polskich. Odbywają się one albo od 11—1 w południe, albo po obiedzie, częstokroć obydwie razem w sobotę po południu od 2—4, a więc w czasie, kiedy umysł znużony, lub kiedy świat cały naukowy ma wolne. Robi się więc wszystko, by lekcye polskiego stały się uczniom ciężarem, by zniechęcili się do nich, a z niemi i do języka i do wszystkiego co polskie.

Krótki daliśmy pogląd na to, czego uczą w lekcyach polskiego, jak uczą i kto uczy.

Czemże więc są dla nas te wykłady języka polskiego? *Policzkiem zuchwale nam wymierzonym!*

Czemże więc jest ta szkoła w rzeczywistości? *Szkołą upodlenia godności ludzkiej i narodowej!*

Ten system, to „dobrodziejstwo“ jest chyba jednym z najniebezpieczniejszych ciosów, jakie rząd pruski narodowi naszemu zadał. Olśnił i oślepił niem naiwne społeczeństwo nasze, a przynajmniej „poważną“ jego część, którą zaspokoił, udobruchał, a nawet zobowiązał do pewnego rodzaju wdzięczności.

Teraz to „dobrodziejstwo“ pan Studt sobie zabiera. Z Bogiem! niech sobie zabiera. I nasze społeczeństwo, i nasza młodzież już sama przejrzała co warta cała ta nauka polskiego, wykładana przeważnie przez Niemców.*) Niech ją sobie pan Studt zabiera! Nie jego urzędnicy mają nas uczyć jak mamy mówić i myśleć po polsku. Jesteśmy gotowi z rządem się zmierzyć na tem polu i pokazać mu, że bez jego protekcyi język polski w zaborze pruskim lepiej zakwitnie niż pod jego „łaskawym“ patronatem.

Jesteśmy o jedno doświadczenie bogatsi i potrafimy wysnuć z niego naukę. Nie będziemy oszukiwać siebie samych, że w szkole młodzież nasza się czegoś uczy i sami weźmiemy się do roboty.

Należy wszędzie zwoływać wiece i na nich odmawiać nie petycye ani rezolucye, lecz propagować przekonanie, że my od rządu pruskiego niczego się spodziewać

*) Mamy już w tece przygotowane artykuły o niektórych szkołach w Księstwie. Przyp. Red.

dobrego nie możemy, a co za tem idzie sami musimy o własne dobro dbać.

Młodzieży naszej na szczęście zagrzewać nie trzeba. Młode pokolenie goręcej odczuwa i odczuwało krzywdę wyrządzoną językowi polskiemu nie przez skasowanie dzisiejszej nauki polskiego, ale przez zaprowadzenie jej w tej reformie, w jakiej dotychczas istniała. Młodzież polska odpowie panu Studtowi na to, czy jakiś tam reskrypt ministeryalny jest w stanie w nas zabić przywiązanie do naszego języka i naszej literatury. Literatura polska z przyjemnością kwituje z protekcyi pruskiej.

Ks. N.....

Nie łudźmy się!

Za każdym razem, gdy spadną na nas z „ojcowskiej“ prawicy rządu pruskiego nowe ciosy w dziedzinie szkolnej — część prasy naszej zaczyna lamentować głośno i stara się przekonać rząd, że przez odnośne swe rozporządzenia sam sobie szkodzi najwięcej — gdyż... otwiera do dzielnic polskich na rozcież przystęp... *socyalizmowi* niemieckiemu. Dzieje się to mianowicie wówczas, gdy nowe takie rozporządzenie zagraża skuteczności nauki religii w szkołach naszych. Argument to w gruncie rzeczy słuszny zupełnie; nic tak nie sprzyja rozszerzaniu się i przyjmowaniu prądów przewrotu — jak właśnie pozbawienie dziatwy należytej nauki religii i co za tem idzie i *wiary,* tej najgłówniejszej podstawy moralnej, jakiej potrzeba w życiu każdemu człowiekowi. Młodzież, wychowana bez wiary i bojaźni Boga, nie zdoła oprzeć się w życiu rozmaitym pokusom i bardzo łatwo uledz może później podszeptom wrogów Boga i porządku Bożego na świecie. Inna atoli rzecz — czy argument ten może *wywrzeć jakikolwiek wpływ na władze pruskie?*

Co do nas, to z góry o tem *wątpimy.* Zresztą kilkakrotnie już dano nam to wcale wyraźnie do zrozumienia, że rządowi pruskiemu i niemieckiemu milszy jest niemiecki socyalista, niż najprawowierniejszy, najnabożniejszy i najuczciwszy Polak, gdy ten Polak pragnie pozostać czem go Bóg stworzył i nie chce się przeistoczyć na Niemca. Rząd może — ba *zapewne* — wcale by się nie gniewał, gdyby i w polskich dzielnicach socyalna demokracya znalazła setki tysięcy zwolenników, gdyby zaraziła trującym swym oddechem szerokie warstwy społeczeństwa polskiego, i gdyby w polskich dzielnicach wybierano chociażby samych tylko posłów socyalistycznych. Byłby to bowiem pierwszy stopień przejściowy do zupełnej *germanizacyi* polskich dzielnic.

Wiadomo przecież, że socyalna demokracya nie uznaje różnic ani wogóle świętości narodowych. Wrzuca ona wszystkich do jednego garnka, aby wygotować z nich ekstrakt do przyszłego społeczeństwa socyalistycznego. Deklamacyi tak zwanych *polskich* socyalistów na temat narodowości nie można brać na seryo, są one tylko środkiem agitacyjnym, owa mazia, do której przylgnąć mają polscy robotnicy, gdy inne środki i namowy nie skutkują. Co o tym „patryotycznym“ socyaliźmie sądzić, o tem wiemy wszyscy chyba aż nadto dobrze. Utrzyma się on tak długo, dopóki nie odniesie pożądanego skutku; gdy niedoświadczeni polscy robotnicy pójdą na ten lep i raz do niego przylgną, nie trudno już będzie zamienić ich z Polaków na prawdziwych członków czerwonego „internacyonału“, drwiącego sobie z takich „przestarzałych“ poglądów i przesądów, jak *wiara i narodowość.*

Przypatrzmy się zresztą sprawie tej bliżej. Szkodę takiej ewolucyi ponosiłoby przecież tylko *społeczeństwo polskie.* Rozbiłaby ona całą naszą organizacyą społeczno-narodową, wniosła rozbrat między inteligencyą a lud, wywołałaby walki wewnętrzne w łonie i tak już aż nadto skołatanego społeczeństwa polskiego i ułatwiłaby tylko zupełne pochłonienie przez olbrzyma niemieckiego. Rząd zaś *na razie* nicby nie stracił. Chociażby bowiem z dzielnic polskich wybrano do parlamentu z tuzin posłów socyalno-demokratycznych, to opozycya przez to żadnej nie doznałaby zmiany.

Gdy i tak już zasiada tam przeszło 50 posłów socyalistycznych — to o tuzin więcej lub mniej nie chodzi, zwłaszcza że przez to znów przestałaby prawie zupełnie istnieć *opozycya polska.* Dotychczasowy zaś rozwój niemieckiej socyalnej demokracyi, trzymającej się ściśle granic prawa, wykazuje, że rząd z czasem upora się z tem „niebezpieczeństwem“. Toć i dziś już zamienia się niemiecka partya socyalistyczna z *rewolucyjnej* na *reformacyjną.* Z czasem — pociesza się rząd pruski zapewne — większości obozu socyalistycznego ogorzeją piórka, wróci do dawnych zasad i przekonań wiernopoddańczych, ale „polscy“ socyaliści raz już się wynarodowiwszy, nie wrócą do ideałów narodowych, lecz pozostaną na zawsze *Niemcami.* Oto zaś jedynie chodzi!!

Tak tedy śmiesznem wprost jest to straszenie rządu widmem rozpanoszonej i u nas socyalnej demokracyi, gdy ta demokracya socyalna może jest nawet dla kierowników rządu bardzo pożądanym środkiem dla wynarodowienia Polaków. Stara zasada przecież: „diwide et impera“ — „dziel, kłóć a rządź“ zawsze prawie wydaje pożądany skutek.

Skarżąc się zaś na to, sami odkrywamy słabą stronę naszej pozycyi i pokazujemy formalnie palcem, gdzie nas najskuteczniej ugodzić można. Przestańmy tedy ośmieszać się i zdradzać. Jeszcze, dzięki Bogu, tak źle nie jest, aby ta ukryta nadzieja najserdeczniejsych naszych ziścić się miała. Lud nasz jeszcze jest *polskim* aż do szpiku kości. Pielęgnujmy to polskie, narodowe jego poczucie, ono obok *wiary,* o której utrzymanie podwójną gorliwością, gdy szkoła nie dopisuje, starać się muszą nasi *kapłani,* — najlepszą jest tarczą przeciwko prądom przewrotu. Pokażmy rządowi, że i pod tym względem dzisiejszy system szkólny zaszkodzić nam nie zdoła. Tem dosadniej pokreślimy rachuby nieprzyjaciół naszych, niż bezowocnemi lamentami i jeremiadami! Jesteśmy narodem *nieszczęśliwym* w całem tego słowa znaczeniu, a takiemu narodowi — jeżeli ma wzbudzać szacunek nawet u wrogów, przystoi jedynie szlachetna duma — a nie upokarzające skargi. Źleby było, gdyby na seryo kilka lat nauki bez religii wepchnąć miały nasz lud w przepaść socyalizmu. W takim razie przyszłość nasza na glinianych tylko spoczywałaby nogach.

Lecz tak nie jest! Jeżeli tylko sami nie damy za wygraną, zdrowy zmysł ludu naszego zdoła ochronić się od każdej zarazy, gdy nas tedy gniotą powiedzmy: Nie boimy się was, silne jeszcze piersi nasze, silne ramiona, silna wiara w Boga i niezłomna ufność w żywotność naszą, Róbcie co chcecie, nas nie zgnębicie, nie wynarodowicie, a nawet w socyalisty nie zapędzicie!! To godniejsza odpowiedź nieszczęśliwego, narodu niż te skargi i perswazye złudne...!

M. J.

Straszne czasy!..

Krwią i łzami znaczą się ostatnie karty XX wieku, a na każdej z nich zda się widnieje złowrogie, ognistemi wypisane głoskami, biblijne — *Mane — Tehel — Fares!*, które mówi: wejrzyj ludzkości w swoje sprawy, uczyń rachunek sumienia, włóż na siebie zgrzebne szaty pokutnicze i posyp głowę popiołem, albowiem wisi nad tobą zagłada, nie z gromów, jakie spaść mają z nieba, lecz z zdziczenia własnego, z sponiewierania przykazań Bożych, z skopania najszczytniejszych ideałów chrześciańskich i cywilizacyjnych.

Oto co mówią czasy dzisiejsze, o czem głoszą po świecie zadrukowane szmaty dzienników, które, niby karty żałobne, wnoszą wszędzie smutek, obawę, zwątpienie i rozpacz, na myśl: co dalej będzie? co przyniesie ta przyszłość kirem okryta? jakie jeszcze objawy zwyrodnienia przejść musi ludzkość, zanim nastąpi upamiętanie, zanim Słowo Boże powtórnie się ozwie w sercach człowieczych.

Jękliwą zaiste skargą dźwięczeć musi drut telegraficzny, gdy po nim urządzają straszliwe rekordy wieści hiobowe: wojen, morderstw, samobójstw i zamachów na cudzą własność, na spokój i szczęście bliźniego; gdy, zamiast słów miłości chrześciańskiej, przebiega po nim, w różne strony świata, groźba pomsty i zniszczenia.

Szczęście? Jestże ono jeszcze na świecie? Czy znajdzie się tak zapomniany zakątek na ziemi, do którego nie przeniknął jeszcze zawistny wzrok chciwości ludzkiej?

Poczynając od kieszonkowych złodziei, szulerów szynkowniowo-klubowych i zezwierzęconych nożowników a kończąc na wielkich zbrodniarzach politycznych i królobójcach — ciągnie się długi, bezwymierny łańcuch zbrodni, z której każde ogniwo jest hańbą XX wieku, gdyż ukute ono zostało w okropnej kuźni egoizmu ludzkiego.

Przejawia się on w rozmaitych postaciach i rozrasta się niby potworny polip, który swemi, pełnemi jadu, ssawkami wpija się w organizm społeczny, by podniecać w nim wyuzdane namiętności, gwałtowną chęć użycia, zawiść, próżniactwo, a wreszcie zbrodniczą mściwość przeciwko wszystkiemu, co krępuje rozpasanie dzikich instynktów ludzkich; a więc, przeciwko prawom Bozkim i ludzkim, przeciwko kościołowi i władzy, przeciwko społeczeństwu i jego pracowitym, spokojnym członkom...

Oto główne etapy zbrodni i jej czynniki przybierające na siebie obłudną maskę: praw człowieka i dążenia do rzekomej równości obywatelskiej.

Czemże są ostatnie zbrodnie królobójstwa w Monzy, oraz zamachu na życie monarchy perskiego w Paryżu, wieść o których wstrząsnęła światem całym — jeśli nie jednym z przejawów tego egoizmu ludzkiego, który spotęgował się do najwyższego stopnia w obłąkanych umysłach morderców politycznych?

Ofiarą zbrodni padł, jak wiadomo, król włoski Humbert, jeden z najbardziej popularnych monarchów, wielbiony przez swój naród, poważany nawet przez wrogie rządowi i monarchii stronnictwa polityczne, człowiek najpiękniejszych zalet charakteru i serca, wierny strażnik swobód konstytucyjnych, słowem jedna z tych jasnych ukoronowanych postaci, przed której majestatem ukorzyć by się winien nawet najzawziętszy jego wróg osobisty.

A jednak dosięgła go kula mordercy. Zapewniają, że było to morderstwo polityczne, że zbrodniarz był zagorzałym anarchistą, członkiem tej strasznej organizacyi wywrotowej, w której gronie nie ma twórców i architektów, lecz wandale i burzyciele, mający w programie tylko ruiny i zgliszcza porządku istniejącego. Oto dorywcze, pobieżne wytłumaczenie pobudek zbrodni.

Czy ono jednak może nas zadowolnić, czy zdoła znowu ukołysać chwilowo zaniepokojone sumienie społeczne, czy raczej nie powinno zmusić ludzkość do zastanowienia się nad sobą, do bacznego skontrolowania funkcyi swego wewnętrznego ustroju, do odkrycia przyczyn chorobowych, które wywołują na jego powierzchni wstrętne wrzody i potworne narośle, wyrastające coraz gęściej i zakażające swemi wyziewami moralną atmosferę świata. Wszakże to nie pierwsza zbrodnia, nie pierwsze królobójstwo, nie pierwszy objaw szerzącego się zdziczenia obyczajów, zarówno w pojedynczych jednostkach jak i w całych grupach społecznych.

Muszą być więc trwałe przyczyny wpływające na rozrastanie się wszelkich chwastów zbrodni, w różnych jej postaciach.

Gdzie jednak szukać tych przyczyn, pchających ludzkość po pochyłości, w przepaść zupełnego zdziczenia, na dnie której gnieżdżą się już tylko szakale i hieny ludzkie?

Oto szukać ich należy w tej okropnej kuźni *egoizmu* ludzkiego, który po nad własne *ja* żadnej świętości i żadnych praw nie uznaje, który trawiąc się w własnych namiętnościach staje się z konieczności wrogiem wszystkiego, co te namiętności krępować może.

Przejawy tego egoizmu znaczą się w niesprawiedliwie podjętych wojnach, w przemocy silniejszego nad słabszym (Anglia i Transwaal); słowem we wszelkich zbrodniach podjętych, czy to w celu prywatnej zemsty, czy pod wpływem chciwości na cudze dobro.

Im więcej takich zbrodni się mnoży, im są one potworniejsze, tem niebezpieczeństwo jest większe i tem większą czujność powinno ono obudzić w społeczeństwach i narodach, aby w porę położyć mogły tamy przeciwko ogólnemu zwyrodnieniu ludzkości.

A pora potemu jest wielka, znaki ostrzegawcze się mnożą I nie dadzą się już one ukrócić postrachem i karą, rozpasanie bowiem namiętności zanadto się wzmogło, lecz powolną, a zasadniczą reformą w wychowaniu, przez krzewienie prostoty obyczajów i miłości bliźniego, na której chwasty egoizmu rozrastać by się nie mogły.

Pora o tem pomyśleć, boć przecie należy się ludzkości nieco wytchnienia, spokoju i odrobiny szczęścia!... *N. P.*

Z TYGODNIA.

Po dokonaniu zamachu na króla włoskiego policya energicznie się wzięła do rzeczy, aby zdemaskować stowarzyszenia anarchistyczne i doszła do odkrycia spisku przeciw wszystkim głowom ukoronowanym. Główną siedzibą tego spisku jest miejscowość Patterson w Ameryce, gdzie obecnie znajduje się znaczna liczba anarchistów. Przeszło 50 anarchistów bawi tam obecnie, a organem ich jest dziennik „*Avanti*", który zwalcza namiętnie stronnictwo socyalistyczne, zagrzewając stronników swych, aby zamiast propagandy mdłej teoryi reformy zajęli się raczej propagandą czynu, t. j. mordowaniem królów.

Drugiem gniazdem anarchizmu jest Szwajcarya. Po chwilowych represyach ze strony rządu po zamordowaniu cesarzowej Elżbiety nastąpiła dla anarchistów prawie wolność zupełna i w r. 1899 zaczęli szwajcarscy anarchiści wydawać „Kalendarz anarchistyczny", a później pismo, które do dziś dnia jeszcze wychodzi i jest do nabycia we wszystkich szwajcarskich księgarniach.

Proces przeciw królobójcy Bressiemu, jakoteż przeciw uwięzionym anarchistom, przypuszczalnym jego wspólnikom, odbędzie się jeszcze w bieżącym miesiącu przed ławą przysięgłych w Medyolanie. Uwięzieni anarchiści dotychczas wypierają się wszelkiej łączności z Bressim.

W poprzednim numerze omówiliśmy treść mowy cesarskiej w Bremerhaven, w której powiedział cesarz Wilhelm, że wojska jego mają naśladować dawnych Hunnów i ich króla Attylę wobec Chiń-

czyków, aby w ten sposób szerzyć kulturę. O kulturze Hunnów ciekawe wiadomości podaje historyk niemiecki Schlosser:

„Napady rozbójnicze ich — pisze ten historyk — były straszniejsze niż jakiegokolwiek narodu wszelkiej epoki; niszczyli oni dla samej przyjemności burzenia, zabijali się często sami w bójkach i regularnie tępili starców, nie chcąc ich żywić. Królobójstwa były wśród nich na porządku dziennym, a sam Attyla zasiadł na tronie dopiero wymordowawszy wszystkich swych braci; ojca swego oślepić kazał on i wsadził do zakratowanej klatki, w której drugiej połowie pies zamieszkiwał; a matkę swą oddał swym niewolnikom na pohańbienie. Hunnowie zazwyczaj ciągnęli swych jeńców przywiązanych do swych koni na powrozach, a następnie morzyli ich głodem. Z reguły oni nie brali przeciwników do niewoli, aby ich nie żywić. Ponieważ pod względem obyczajowym Hunnowie mało co wyżej stali od małp, więc pastwienie się ich nad zwyciężonymi miało wprost nieludzką cechę. Rany leczyli w ten sposób, że dzieciom rozpruwali brzuchy i ciepłe ociekające krwią ciało przykładali do miejsc chorych. Król, ich dziki Attylla, uważał siebie za posłannika niebios dla podbicia wszystkich narodów i starożytną cywilizacyę Rzymian i Greków uważał za barbarzyństwo, jedynie zaś Hunnów za jedyny wybrany naród.“

Dalej podaje Schlosser, że Attyla na swój sposób chciał okazać cywilizacyę i że około siebie trzymał pewną ilość artystów, aby dać dowód, że interesuje się sztuką. Jednakowoż gdy artysta jaki nie chciał go wbrew swemu przekonaniu pochwalić przypłacał to życiem.

Attyla otrzymał w historyi przydomek „*bicza bożego.*“

Tak pisze historyk niemiecki o Hunnach.

Jak podają gazety niemieckie, niebawem zorganizowany będzie dalszy oddział ochotników, złożony z 10 tysięcy ludzi, aby pojechać do Chin w celu szerzenia kultury. Generał hr. Waldersee ma być główno komenderującym zjednoczonych oddziałów.

Jednakowoż teraz już o mowach cesarskich nie będą pisały gazety, ponieważ po tej ostatniej z Bremerhaven, w której zalecano, aby żołnierze naśladowali Hunnów, urząd kanclerski zaprowadził dla ogłaszania mów cesarskich pewien rodzaj cenzury prewencyjnej. Mianowicie odtąd wszystkie mowy cesarskie wygłaszane przy wyjeździe wojsk niemieckich do Chin będą mogli korespondenci do gazet tylko za przyzwoleniem ministra spraw zewnętrznych ogłaszać. Jak z Bremerhaven z poniedziałku donoszą, to tylko ci przedstawiciele prasy mogą uczestniczyć przy pożegnaniu wojsk na wyprawę chińską, którzy podpisali rewers, że o mowach cesarskich wypowiedzianych do odjeżdżających wojsk do Chin nic takiego nie umieszczą, czego poprzednio cenzurze hr. Bülowa nie poddadzą.

Alarmującą wieść o pojawieniu się dżumy w Europie donoszą z Hamburga, dokąd mianowicie w dniu 30go lipca przybył okręt, na którym jeden z podróżnych zachorował na tyfus. Chorego przewieziono natychmiast do szpitala. W dniu 4go sierpnia wystąpiły u chorego objawy, które wzbudziły podejrzenie, że może to być inna o wiele niebezpieczniejsza słabość. Wobec tego zarządzono surowe środki ostrożności. Chorego izolowano w osobnym oddziale dla chorób epidemicznych, a równocześnie wszystkich, którzy z nim przedtem byli w styczności poddano obserwacyi lekarskiej.

Wieść taka oczywiście w fatalny sposób oddziałała na giełdę i tak zaniepokojoną wypadkami w Chinach. Nieulega bowiem wątpliwości, że Europa chce sama wywołać przelew krwi, podług ostatnich wiadomości bowiem wojska już są w marszu na Pekin, a tymczasem posłowie obcych mocarstw, prócz Kettelera, żyją i rząd chiński chce za wszelkie nadużycia dać odszkodowanie.

Hakatyści już obiecują sobie, że po zawojowaniu Chin będą sprowadzali tamtejszych robotników do Prus, aby się pozbyć Polaków. Wogóle kwestya posługiwania się robotnikami polskimi u hakatystów budzi objawy szału antypolskiego. Obecnie wojują oni sami z sobą z tego powodu. Jak wiadomo, jednym z zasadniczych punktów programu hakatystycznego jest ograniczenie dopływu robotników polskich do Prus. Żądanie to jednak sprzeciwia się oczywistym potrzebom rolnictwa niemieckiego, a z tej sprzeczności zdań wyłania się częsta dyskusya publiczna. Ostrą polemikę w tej kwestyi spowodował obecnie jeden z ojców hakatyzmu, p. Hanseman z Pępowa, który od dłuższego już czasu zapełnia szpalty rozmaitych świstków szowinistycznych rozpaczliwemi skargami z powodu zamierzonych jakoby ułatwień w zatrudnianiu zagranicznych robotników polskich.

Przeciwko tym skargom wystąpił świeżo inny hakatysta, właściciel ziemski p. Józef Leclerew z W. Ks. Poznańskiego w liście otwartym, zamieszczonym w głównym, a tak nieprzychylnym Polakom, organie związku rolników niemieckich „Deutsche Tageszeitung.“

„Właśnie w chwili, gdy po zaprowadzeniu uprawy buraków cukrowych zwiększać się zaczęło zapotrzebowanie robotników, wydalono w r. 1896tym ze względów narodowych tysiące rodzin polskich, które się już u nas zaaklimatyzowały, a zamieszkiwały przeważnie powiaty pograniczne. Wiele z tych rodzin udało się do Ameryki Północnej, i okolic pogranicznych. Rozmiary tego wychodźtwa wyjaśnia najlepiej fakt, że przynajmniej połowa 60 rodzin, osiedlonych obecnie u mnie, ma krewnych w Ameryce Północnej. Rzeczą w takich warunkach jest jasną, że bez robotników zagranicznych gospodarzyć nadal nie możemy na naszych majątkach, oraz że te majątki i zimą obyć się nie mogą bez tych robotników. Czas największy oświadczyć bez wszelkich ogródek, że W. Ks. Poznańskie albo mieć będzie polskich robotników, albo nie będzie miało wcale robotników.“

Znaczy to: praca polska jest silniejsza od hakatyzmu. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

We wstępnym artykule naszym znajdzie czytelnik omówienie poruszonej przez **„Przegl. Wszechp.“** sprawy utworzenia legionów polskich. Ograniczamy się zatem tutaj do podania o tej sprawie trafnych uwag **„Gońca Wielkopolskiego“**, który charakteryzuje wspomniany artykuł jako ducha, zrozpaczonego niedolą polskiego narodu, a pałającego gorącą miłością ojczyzny. **„Goniec“** czyni następujące uwagi:

1) „Wątpimy bardzo, czy którekolwiek z mocarstw chciałoby mieć w swoich granicach dwie oddzielne armie tj. jedną własną, a drugą obcą, polską.

2) „Chociaż nawet — jak sobie wyobraża autor — potrzebą bieżącej chwili przynaglona, chciałaby wzmocnić siły swe zbrojne polskiemi zastępami, — uczyniłaby to wyłącznie dla swoich własnych samolubnych interesów, a dla takich interesów zapewne tak samo szkoda polskiego żywiołu, jak było go szkoda dla również samolubnych, zaborczych imprez Napoleona I. Na walki z Hiszpanami na Kubie lub z Boerami w Afryce, jak w ogóle na swoje, przeciwne prawom ludzkości podboje niech sobie Anglicy lepiej poszukają innych sił zaciężnych: — polskich dalibóg na to szkoda!

3) „Autor sam powiada, że jesteśmy biedni, my zaś dorzucimy, że nie tylko fizycznie, ale także duchowo i moralnie wybiedzeni, a do zmiany tego stanu ubytek tysiącznych jednostek, pełniących służbę bez pożytku dla kraju w obcem państwie, z pewnościąby się nie przyczynił.

4) „Mówi autor, że należy skupiać — o ile się da — rozproszone skutkiem emigracyi — jednostki.

„Owszem, to myśl zdrowa, ale chodzi o sposób skupienia.

„Skupiać się, owszem! Ale w duchowej i ekonomicznej pracy, bez krwi rozlewu i bez rozrzucania ofiar na polu obcej chwały, ofiar, z których ojczyźnie pozostaje jedno tylko, to jest żal niezmierny po stratach. Skupiać się, tak, ale nie z ideą gubiącą się hen gdzieś w nieodgadnionych i niedościgniorych przyszłośc

tajnikach, jeno z ideą bezpośrednich dla kraju korzyści, z ideą niewątpliwego dobra narodu."

Reasumując wszystko powyżej powiedziane, sądzimy, że gdyby nawet możliwem było utworzenie polskich legionów gdzieś w Anglii. nie wydawałoby się nam rozumnem roztrwaniać siły dla złudnych widoków w sferze obcych interesów, bo przecież sił tych dla urzeczywistnienia najbliższych celów nie mamy zanadto.

Dyskusya publiczna w sprawie rozporządzenia ministra Studta, kasującego naukę języka polskiego i religii nie schodzi z porządku dziennego. Coraz bardziej toruje sobie drogę przekonanie, że w tym wypadku, jak w wielu podobnych „niema złego coby na dobre nie wyszło." Rozporządzenie to bowiem choć będzie krzywdą dla wielu rodzin polskich i dla znacznej liczby dziatwy polskiej, to wszakże pod innym względem wywrze dobry i zbawienny skutek, bo spoi jeszcze silniej lud polski w trzech zabranych dzielnicach: w Księstwie, w Prusach Zachodnich i na Śląsku. Dotychczas łączność istniejąca między temi trzema prowincyami była mała, obecnie to się zmienić musi na lepsze, gdy wszystkie trzy jednakowo będą zrównane wobec polskości przez butę pruską. Pisze o tem nader trafnie **„Dziennik Śląski"**:

„Szkoła w polskich dzielnicach wschodnich pod panowaniem pruskiem będzie niedługo jednolitą, bo tak życzy sobie rząd pruski, a raczej p. minister Studt. Będzie z niej nauka języka polskiego niedługo zupełnie wykluczoną, będzie z niej język polski prawie zupełnie wyrzuconym, a tylko w najniższych klasach przy nauce religii, jeżeli nauczyciel-Niemiec lub zgermanizowany, a więc zwykle tem zaciętszy germanizator, uzna to za potrzebne.

„Śląsk, Poznańskie i Prusy będą jednakowo traktowane, to znaczy: żadna z tych dzielnic nie będzie miała nauki języka polskiego w szkole elementarnej.

„Wiadomo, że po feryach zaprzestali w Poznaniu uczyć po polsku czytać i pisać w szkołach elementarnych polskiego czytania i pisania. Bracia nasi w Poznańskiem dotąd mieli pod tym względem lepiej, dlatego język polski lepiej znali. Teraz im i tę drobnostkę polskiej nauki odjęto.

„Jak się to czasy zmieniają?!

„W r. 1894 dnia 16-go marca zostało ogłoszone rozporządzenie ministeryalne, według którego z rozkazu gabinetowego cesarza i króla Wilhelma II-go na średnim stopniu została zaprowadzoną nadobowiązkowa nauka polskiego czytania i pisania, i to w interesie religii dla tych dzieci polskich, które w klasach średnich i wyższych pobierają w szkole elementarnej naukę religii w języku polskim.

„Ogłosił to rozporządzenie p. minister Bosse i uzasadniał je w sejmie jako usprawiedliwione i bronił go, oświadczając, że wszyscy rzeczoznawcy i niemieccy powiatowi inspektorzy szkolni owe rozporządzenie pochwalili.

„A teraz? Bosse poszedł na odstawkę — a p. Studt znosi to, co jego poprzednik zaledwie przed 6 laty rozporządził.

„To cios wymierzony w nasz ukochany polski język ojczysty.

„W Berlinie mogą być pewni, że ludność polska sobie to dobrze spamięta i tego nigdy nie zapomni, jak się obchodzą z polską ludnością. Jak jeden mąż odczuwamy tę krzywdę, naszemu językowi wyrządzoną."

Najzupełniej podzielamy wyrażone tu zapatrywanie, że dopiero niwelująca wszystkie różnice dłoń pruska zrobi z nas wszystkich jednakowych, prawdziwych Polaków, jak niemniej i silniejszym połączy nas węzłem wspólnej biedy z zaborem rosyjskim. *W tej łącznosci leży przyszłość nasza.*

Bardzo aktualną sprawę macoszego traktowania pism polskich w galicyjskich restauracyach i kawiarniach podnosi krakowska **„Nowa Reforma"**:

„Kawiarnie, cukiernie i inne lokale restauracyjne w Krakowie przepełnione są aż do zbytku pismami niemieckiemi. Pełno w nich rozmaitych „blatów" i „zeitungów", pełno ilustrowanych i humorystycznych tygodników, w rzędzie których, obok kilku poważnych, widzimy mnóstwo śmiecia, istne bagna, na których kwitnie pornografia. — Już to na pisma niemieckie nie szczędzą grosza właściciele kawiarń i zakładów gastronomicznych, tak, iż zdawaćby się mogło, że czytająca publiczność krakowska przeważnie z Niemców się składa. Pisma polskie nie doznają takiej opieki, owszem są wprost po macoszemu traktowane.

„Przypatrzmy się temu bliżej. Dzienniki krakowskie, a jest ich przecie nie wiele, nie zawsze znajdą się w komplecie; dzienniki lwowskie bardzo słabo zastąpione; pism prowincyonalnych galicyjskich nie znajdziesz z latarnią w całym Krakowie, a przecież skromna prasa ta, odzwierciadlająca życie prowincyi, powinna być uwzględnioną. Jeszcze jako tako reprezentowaną jest Warszawa; są „Kuryery", „Tygodniki" ilustrowane i nie ilustrowane różnych tytułów i odcieni, oraz pisma humorystyczne. Z całego zaboru pruskiego kawiarniany polityk może czytać tylko „Dziennik Poznański", tamtejsza prasa opozycyjna, ludowa, zupełnie nie znana, ani żaden z organów kresowych, broniących sprawy polskiej na Śląsku lub nad Bałtykiem. Jeszcze przed paru laty spotkać można było w większych zakładach „Ateneum", „Bibliotekę warszawską lub jaki „Przegląd" — dziś ich niema, a za to niemczyzny coraz więcej. W każdej najbrudniejszej kawiarni rozpiera się dumnie ulubiony organ naszej inteligencyi „Das interessante Blatt"! Pismo to cieszy się wielkiem wzięciem; kryminalne rubryki „Wer ist das„, lub „Wer weiss etwas" czytają wszyscy.

„W Poznaniu wychodzi *„Praca"*, pismo starannie redagowane, o uczciwej tendencyi, ilustrowane, tanie — a mimo to w Krakowie mało znane. Kawiarze i cukiernicy nie mogą się zdecydować na zaabonowanie togo pisma — bo naszej publiczności wystarcza „Interess. Blatt", My sądzimy jednak, że pod tym względem potrzebne są radykalne zmiany. Pierwszorzędne kawiarnie i cukiernie niechaj dadzą dobry przykład i zrobią staranny przegląd i wybór czasopism, podawanych gościom. Nie narażą się wcale na większe wydatki, lecz śmiecie niemieckie zastąpią godnemi pismami polskiemi. A publiczności obowiązkiem baczyć na to, aby niemczyzna nie rozpierała się u nas ze szkodą naszej publicystyki."

Uwagi te skierować możemy zupełnie bez wahania i ku właścicielom naszych poznańskich i prowincyonalnych restauracyi. Dlatego też prosimy czytelników, aby zauważywszy gdzieś brak pism polskich przestawali uczęszczać do takiego lokalu, poprzednio uwiadomiwszy gospodarza o przyczynie tego postępowania.

Dziwną jednomyślnością odznacza się poważna prasa polska w sprawie dyrektora teatru polskiego w Poznaniu p. Rygera. Nietylko poważne pisma poznańskie, ale i zakordonowe wzięły go w obronę.

W korespondencyi do **„Gazety Polskiej"** czytamy:

„Mieliśmy tu przed kilku tygodniami zatarg teatralny. Pominąłbym go milczeniem, gdyby on w dalszym ciągu nie wywoływał polemiki dziennikarskiej i nie stanowił, obok wojny chińskiej, głównego przedmiotu zainteresowania tutejszej publiczności. Poruszać nie myślę osobistej strony sprawy — nie jest ona ciekawa. Chodzi mi jedynie o punkty zasadnicze. Otóż, na ostatniem posiedzeniu akcyonaryuszów spółki „Teatru poznańskiego," jeden z uczestników zebrania poddał surowej krytyce działalność kierownika sceny, p. Rygera, zarzucając mu utrzymywanie lichej trupy i obniżanie poziomu artystycznego przez wystawianie płaskich fars. W zarzutach tych mieści się odrobina prawdy i dużo przesady. Towarzystwo poznańskie nie składa się z sił pierwszorzędnych z tej prostej przyczyny, że niewielkie i biorąc na ogół ubogie miasto, nie może sobie pozwolić na taki zbytek. Farsy zaś wystawia przedsiębiorca, ponieważ ściągają one publiczność, gdy na sztukach poważnych teatr świeci pustkami. Sam przecież krytyk działalności p. Rygera, wygłosiwszy panegiryk na cześć repertuaru klasycznego, wystąpił z żądaniem, aby teatr poznański zaczął pielęgnować najpodlejszy właśnie rodzaj sztuki — operetkę. Do takich konsekwencyi dochodzi się, skoro w kwestyach sztuki przemawiają a poniekąd i decydują ludzie, użyteczni może zkądinąd, lecz nie mający właśnie o sztuce najmniejszego nawet wyobrażenia".

Niema co mówić: uwagi słuszne.

Niedawno obchodziło swój jubileusz pismo polskie: **„Kuryer Polski"** w Ameryce. Jubileusz to dwunastoletniej pożytecznej dla społeczeństwa działalności (widocznie w Ameryce taki zwyczaj obchodzenia jubileuszów co 12 lat). „Kuryer" wydał z tego powodu piękny numer i z następującemi słowami zwraca się do Rodaków:

„Kuryer Polski", pierwszy dziennik polski w Stanach Zjednoczonych, ma za sobą lat dwanaście. Dwanaście grubych roczników leży na stołach naszych, dwanaście lat pracy początkowo samego wydawcy i założyciela, a później coraz większego grona współpracowników, po za nami.

„Co Kuryer zdziałał przez te lat dwanaście swego istnienia dla społeczeństwa polskiego — my o tem sądów wydawać nie możemy, ale że praca jego została uznaną, że droga, którą kroczy, jest właś-

ciwą i dobrą, dowodem stale zwiększający się zastęp naszych czytelników, dowodem częste głosy uznania innych pism, dowodem choćby nawet numer dzisiejszy.

„Postaraliśmy się o to, aby treść jego była jak najwięcej urozmaiconą. Z zaproszonych o nadesłanie artykułów, dawniejsi i dzisiejsi współpracownicy nasi, tudzież wybitniejsze osobistości — wszyscy prawie pospieszyli albo ze słowem wprost ze serca płynącem, albo ze sprawą jakąś ważną ogólniejszego znaczenia, albo też wywnętrzyli się z tego, co ich ze względu na nasze stosunki najwięcej przygniatało. Utworzyła się w ten sposób całość, może nie bardzo na pozór jednolita, ale w gruncie rzeczy doskonale w miniaturze przedstawiająca obraz stanu duchowych naszych aspiracyi.

Życzymy, aby „Kuryer“ po następnych latach dwunastu spoglądać mógł na jeszcze lepsze plony swej działalności.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z Prowincyi

Szanowna Redakcyo!

Jaką nienawiścią przeciw wszystkiemu, co polskie nasi „najserdeczniejsi“ pałają, mamy znów dowód z następującego zdarzenia:

Bawiłem w lipcu rb. w pewnem mieście na Górnym Śląsku u wód. Ponieważ owe miasto leży u podnóża Gór Olbrzymich, dlatego nadarzyła mi się dobra sposobność takowe zwiedzić, co też z przyjemnością uczyniłem.

Pewnego dnia przybyłem do jednej restauracyi, (tak zwanej baudy) leżącej na grzbiecie Gór Olbrzymich na wschód od Śnieżki, w czeskiej ziemi. Siedzę sobie tutaj przy szklance piwa, odpoczywając po uciążliwej podróży, wtem wchodzą dwaj turyści i siadają do mojego stołu. Z rozmowy ich, którą toczyli w języku czeskim, dowiedziałem się tylko tyle, iż to byli czescy gimnazyaści z klas wyższych. Ponieważ w górach o zrobienie znajomości nie trudno, dlatego i my już po chwili się kolegowaliśmy. Była jednakże trudna sprawa się z nimi rozmówić, albowiem oni językiem niemieckim bardzo źle, a polskim wcale nie władali, ja zaś z mej strony tylko trochę po czesku rozumiem. Wreszcie wpadliśmy na pomysł rozmowę toczyć w języku obu stronom znanym tj. w języku łacińskim. Szło nam dosyć dobrze i gawędziliśmy sobie w taki sposób o naszych sprawach. Niektórym obecnym Niemcom, którzy widocznie języka łacińskiego nie znali, nie podobała się, jak zauważyłem, nasza konwersacya, myśleli zapewne, iż rozmowę toczymy w języku polskim, którego to języka Niemcy niechętnie słuchają. My z naszej strony nie troszczyliśmy się bynajmniej o ich zakłopotanie, tylko rozmawialiśmy sobie jak najlepiej usposobieni. Ażeby to nasze zapoznanie się i naszą szczerze zawartą przyjaźń po wszelkie czasy w pamięci zachować, postanowiliśmy się w album. wyłożone specyalnie dla turystów, wpisać. Wziąłem więc album i wpisałem w polskim języku następujące słowa:

„Niech żyją Czesi i wszyscy Słowianie! K. R.“

Owi czescy koledzy wpisali także w odpowiedni sposób, lecz w czeskim języku. Potem zajęliśmy znowu nasze miejsca przy stole i rozmawialiśmy o tem i owem jeszcze chwil kilka. Wreszcie koledzy się ze mną pożegnali i ruszyli w dalszą podróż, ja zaś pozostałem jeszcze chwilę. Nie wiedząc co robić wziąłem znów album do ręki i przeglądałem. — Gdy przypadkowo przewróciłem ową kartę, gdzie z kolegami się wpisałem, ujrzałem po stronie mego pisma mały dopisek brzmiący *(vaterlandsloser Geselle!)* Na ten widok oburzyłem się niezmiernie na taką bezczelność owego Niemca, wziąłem natychmiast ołówek i wykreśliłem ową notatkę.

Więc nie mógł ów patryota niemiecki ścierpieć tych polskich słów, które widocznie go tak bardzo drażniły, że nietylko wewnętrznie to odczuł, lecz także zewnętrznie to musiał okazać i te bezczelne słowa dopisać. Gryzło owego Niemca z pewnością nie tylko moje polskie pismo, lecz jak mniemam tem więcej ta okoliczność, że moje nazwisko brzmi z niemiecka i uważał mnie za Niemca, w czem się naturalnie grubo omylił. Nie miał jednakże ów „Kulturträger“ żadnego powodu takich słów używać. Wyraża on się o mnie *vaterlandslos* („że jestem pozbawiony ojczyzny“) a kto wydarł nam naszą ojczyznę? A wreszcie co obchodzi tego Niemca, jakie losy przebywa moja ojczyzna, niech on się tylko raduje, że na swój „Vaterland“ a nie troszczy się zbytecznie o mnie, ani moją ojczyznę. Ja z mej strony pozostanę pomimo wszelkiej niedoli naszej zawsze prawym Polakiem, jakim był mój dziad i pradziad.

Widzimy, na każdym kroku, co to znaczy nie mieć ojczyzny. Możemy też wołać razem z Mickiewiczem:

„Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie:
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił.“

Muszę także jeszcze nadmienić, że w owem albumie widziałem niektóre ustępy całkiem wykreślone. Zdaje mi się, iż były one po polsku pisane, czego jednakże nasi „przyjaciele“ ścierpieć nie mogli.

Z uszanowaniem
K. R.
prymaner wyższy.

Z pamiętnych chwil.

(Dokończenie.)

XVII.

W prowincyi panował smutek powszechny. Coraz to gorsze dochodziły wieści. Razem z rozgłosem o stratach na polach bitw zabrzmiało doniesienie o bombardowaniu Krakowa i o wypędzeniu emigrantów. Dużo było trosk miejscowych, a jednak wszyscy do serca wzięli ten nowy zawód oczekiwań narodowych; obudziło się także współczucie dla boleści bezmiernej, jakiej doświadczyli emigranci z Francyi, przed którymi na chwilę tylko granice ziemi rodzinnej się otwarły, aby się zamknąć potem na zawsze.

Internowani w miastach położonych pomiędzy Elbą a Wezerą, emigranci polscy, z którymi obchodzono się jak z więźniami, mogli ocenić wartość słów Lamartine'a, który w imieniu rządu francuskiego rzekł im: „Spieszcie do kraju! Ojczyzna stoi dla was otworem!“

A jeśli ci emigranci mieli sposobność przekonania, co znaczą te sympatye francuzkie, w które, jak w Boga wierzyli, to niemniej i mieszkańcy prowincyi poznańskiej przekonać się mogli o wartości tych sympatyi. Lamartine postarał się o to.

Właśnie w chwili, gdy pruskie żołdactwo wraz z hordami rozbestwionych kolonistów pastwiło się nad bezbronną ludnością Księstwa złożył Lamartine 23 Maja zgromadzeniu konstytucyjnemu okólnik przesłany posłom francuskim na dworach północnych. Okólnik ten brzmiał:

„Były rząd pozwalał z niechęcią i jakby przymuszony, swoim izbom oświadczać corocznie życzenia swe o wskrzeszeniu narodowości polskiej. *Rzeczpospolita mówi więcej* — mówi przez swój rząd i głośno: Sprawa „przywrócenia narodowości polskiej w rozmiarach, jakie oznaczone zostaną w porozumieniu z trzema dworami, jest własną Francyi sprawą; sprawą, której nigdy ani opuści, ani zapomni, sprawą, którą najprzód popierać będzie na drodze dyplomatycznej, a jeśli się to nie uda, czynnem działaniem w dniu i godzinie, w której wypadki pozwolą jej rozważnie i przez zawczasu przygotowane kombinacye wystąpić ze sprzymierzeńcami swemi naturalnemi w sprawie wyswobodzenia Polski.“

Wieść o tem oświadczeniu rządu francuskiego w chwili, gdy powstanie już zostało stłumione 27 Maja i gdy kraj w bólach konania pozbył się już wszystkich nadziei, wywołała tylko uczucie goryczy i żalu. Bo też okólnik ten zakrawał na szyderstwo.

Dobitny wyraz tego przeświadczenia o nicości owych przesławnych sympatyi, gorzkiemi łzami i krwią okupione doświadczenie, testament polityczny powstania poznańskiego 1848 roku, pozostawiony następnym pokoleniom w spuściźnie zawarł artykuł „Gazety Polskiej“ z 27go maja. Był on napisany pod wrażeniem przebytych nieszczęść z jednej— a oświadczenia Lamartinowskiego z drugiej strony. Zasługuje on na to, aby go tu przytoczyć, jako ostatnie słowo, ostatnią myśl polityczną powstańczego ruchu, myśl — która przypieczętowała szereg złudzeń i nadziei:

„Wołano ze wszech stron: starajmy się o sympatye narodów, — one nas zbawią. Nie czyńcie tego lub owego, bo byście sympatye sobie zrazili. Wołano: pozyskajmy tylko sympatye cywilizacyi europejskiej,

sympatye Niemiec, Francyi i Anglii, a reszta dana nam będzie.

I były wszędzie po świecie dla nas procesye, obwożenie, chorągwie, mowy, krzyki i oświadczenia przyjaźni, miłości i poświęceń.

I na tem się skończyło.

— — — — — — — — —

Ludy słowiańskie! drwijcie sobie z sympatyi zachodu, ale bądźcie ostrożni jak węże. Strzeżcie granic waszych! Choćby wam przysięgano na popioły ojca, na głowę matki i syna — to kłamstwo! Nie ufajcie nikomu, nie wierzcie nikomu."

* * *

Stanęliśmy u kresu. Po powstaniu zorganizowanem, nastąpił jakby epilog — powstanie niezorganizowane, ludowe. A jeśli pierwsze krwawo się zakończyło, to nierównie więcej krwi kosztowało drugie. Charakterystyczne słowa: *„My ta o życie nie stoimy, byle ino te Niemce nad nami nie przewodziły,"* zostały przypieczętowane potokami niewinnej krwi chłopskiej, która się zmieszała z krwią szlachty i emigracyi. Na zgliszczach Książa, wśród kartaczowego ognia pod Miłosławiem, pod nieustającym gradem szrapneli pruskich na polach Sokołowa złożył lud poznański szczytne dowody, że w serce jego zapadło głęboko ziarno miłości Ojczyzny, którego nic nie wypleni. Na polu bitwy — w zwartych kadrach i w partyzantce — w zasiekach i lasach, pojedyńczo lub w gromadzie, walcząc pod wodzą wyćwiczonych oficerów, lub bez nich lud ten wszędzie jednakim się okazał: znamionuje go poświęcenie jako obywatela, ufność w dobrą sprawę jako Polaka, karność i odwaga jako żołnierza; ma on zaciętość, która do ostatniej chwili nie pozwala mu wierzyć, że to już koniec — która z gołemi rękoma każe mu iść na armaty.

Spoglądając z pewnej perspektywy dziejowej na tę minione walki odczuwamy wrażenie jak gdyby przed oczyma duszy powstawał tłum tych bezimiennych chłopskich bohaterów, którzy zgrubiałemi od pracy rękoma chcieli na polu bitwy odmotać ów fatalny węzeł, nadzierzgnięty w ubiegłym wieku wypieszczonemi dłońmi europejskich dyplomatów. A ponad tę ofiarę krwi wyrasta niespożyta zasługa, dowód dojrzałości społecznej tego poznańskiego ludu, który nie chciał słuchać zdradzieckich podszeptów i w roku 1848ym w Poznańskiem nie poszedł śladem 1846go roku w Galicyi. Nie chcemy dociekać, czy powstanie 1848go roku było potrzebnem, czy dało się uniknąć, czy jakie błędy popełniono w sterowaniu chaosem wypadków; niech sąd o tem każdy sobie z faktów wytworzy.

Analiza wypadków, jak się one mianowicie od 1846go roku w swej ciągłości historycznej przedstawiają, wykazuje dwa prądy, które się zlały pozornie, lecz nie naprawdę, w wybuchu powstania marcowego 1848go roku.

Jeden prąd — to prąd radykalny, wszechpolski, dążący do wywołania powstania dla całej Polski; drugi zaś — to prąd opierający się na gruncie istniejących warunków bytu politycznego, dążący do wywalczenia Księstwu Poznańskiemu lepszych warunków bytu. Ruch z połączenia tych dwóch sprzecznych prądów wynikły nie poszedł w kierunku przez jeden lub drugi wskazanym, lecz poszedł po drodze przekątnej; stąd poszło, że chwilami nie miał celu wyraźnie wytkniętego, że wahał się pomiędzy dyplomacyą a mieczem i płacił haracz krwi obojgu.

Czy temu winne jednostki? Mimowoli myśl się zwraca ku Mierosławskiemu. Działalność jego i rola w powstaniu 1848go roku wywołała namiętną krytykę, której istotna treść zawiera zarzut, że skutkiem jego nieoględności lub gorączkowości wywołana orężna rozprawa z Prusakami dała Księstwu skosztować wszystkich nieszczęść terroryzmu zdobywców i zniweczyła wszelką nadzieję poprawy losu.

Z drugiej strony w swej namiętnie pisanej książce o wypadkach 48go roku Mierosławski oskarża przeciwników o „parafiańszczyznę," o krótkowidztwo polityczne, o zabiegi w celu uzyskania jakichś okruchów łaski królewskiej dla Poznańskiego, a zapominanie o całej Polsce.

Z tego widoczną jest tak wielka celów i dążeń stron obydwóch różnica, że każdej stronie z jej punktu widzenia należy przyznać słuszność, a we wzajemnych oskarżeniach — skonstatować, że się obie strony nie rozumieją. Tu jest oś, około której od samego początku do samego końca kręciły się losy powstania.

— — — — — — — — —

Gdy pod Sokołowem w najgorszy ogień szrapnelowy szły kompanie kosynierów, gęstym trupem zaściełając pobojowisko, w jednej z ostatnich kompanii, które miały wyruszyć w ogień, dostrzegł Mierosławski staruszka, który w trzęsącej się już dłoni dźwigał kosę i wraz z innymi miał ruszyć do ataku. Zbliżył się więc do niego i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł przyjaźnie:

„Zostańcie lepiej przy furgonach, mój przyjacielu! — Wiek wasz uwalnia was od obowiązku walczenia. Są młodzi na to."

A starzec, wyprostowany jak struna, wskazał na stojących w tym samym co on szeregu trzech młodych i rzekł:

„Naczelniku! Oto trzech synów moich. Przyprowadziłem wszystkich, ilu miałem. Pozwól mi walczyć i zginąć z nimi."

Kolumna ruszyła do ataku i szła nieprzeparcie, aż doszła dokąd dojść miała. Starzec i trzej jego synowie — wszyscy padli poszarpani pruskimi szrapnelami.

* * *

Ich to pamięci, bohaterskiego *Floryana Dąbrowskiego i jego towarzyszów po duchu*, pamięci katowanych, więzionych i kamieniem piekielnym piętnowanych — na tem miejscu czci pełne należy się wspomnienie.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Artykułem niniejszym zamykamy szereg artykułów o **pamiętnych chwilach 1848go roku.** *Artykuły te stanowią część książki, którą dr. Kazimierz Rakowski napisał p. t.* **„Powstanie poznańskie w r. 1848-ym."**

Kto chce dla siebie i swej rodziny nabyć pamiątkę tej naszej walki o niepodległość, powinien książkę tę kupić w najbliższej księgarni, lub zamówić u „Towarzystwa wydawniczego" we Lwowie, ulica Pełczyńska No. 1.

Ojczenasz polskiego dziecka.

Ojcze nasz! Ojcze! Na skrzydłach do Ciebie,
Rwie się z serc naszych ten błagalny śpiew:
Święć się Twe Imię na ziemi i w niebie,
W sercach Twych dzieci miłość bratnią krzew!

Bądź pochwalony przez trud nasz i znoje,
Przez boleść Polski i święty Twój krzyż!
O, Panie, Panie! przyjdź królestwo Twoje!
Łaski, pokoju, królestwo nam zbliż!

Niechaj się zawsze święci Twoja wola,
Niech miłosierdzie spłynie na Twój lud!
Błogosław nasze zasiewy i pola,
A chroń od klęski i oddalaj głód!

Jako my wrogom odpuszczamy winy,
Odpuść nieszczęsnym skażenie Twych praw!
A gdy masz karać — to karz błędne syny,
Tylko Ojczyznę ode złego zbaw!

Władysław Bełza.

Między młotem i kowadłem.

(Ciąg dalszy.)

Czy sąd uznał te argumenty — nie pamiętam; ale już sama obrona z tego stanowiska jest wystarczającą. To, co człowiek nazywa kradzieżą, tam jest tylko obyczajem.

I w samej rzeczy tak jest. Po zaprowadzeniu w Rosyi sądów przysięgłych,*) srogo bywa karaną tylko kradzież koni, inne zaś bardzo łagodnie, albo nawet wcale. Koń bowiem i dawniej był własnością osobistą, kiedy reszta wspólną. Stratę więc konia rozumie i uznaje taki sędzia, inna zaś kradzież wydaje się naturalną.

. . . .

Rodzoną siostrą kradzieży są łapówki.

Ale niech nikt nie przypuszcza, abyśmy potępiali tę cnotę Moskala. Bynajmniej. Łapówki, to całe szczęście narodu. Gdyby nie one, byłoby wprost niepodobieństwem żyć w tym kraju. Łapówki tylko zapewniają bezpieczeństwo, dają opiekę prawa, chronią od rozboju i grabieży.

Z tego powodu łapówki są bardzo ważnym, zasadniczym elementem ustroju społecznego w Rosyi.

Urzędnicy uważają łapówki za rzecz zupełnie naturalną i nazywają „kormleniem“ (karmieniem). Tatiszczew w oczy Piotrowi powiedział: „Biorę, ale przez to ani wobec Boga, ani waszego majestatu nie grzeszę.“

Jagużyński, senator, generał, prokurator, powiedział mu: „Czy chcecie zostać bez sług? Wszyscy kradną, jedni więcej, drudzy mniej.“

Tak, miał słuszność. I dziś tak samo jeszcze łapówki biorą tam wszyscy: od lokaja aż do ministra — różnica tylko w rozmiarach i formie.

Jeden poprzestaje na kopiejkach, inny palcem nie kiwnie bez dziesiątek, albo setek rubli. Jeden bierze jawnie, drugi ostrożnie, często nawet za pośrednictwem żyda, albo żony czy też metresy (a metresę każdy dygnitarz mieć musi). Niektórzy są bardzo honorowi i drażliwi. Jeśli ktoś niedoświadczony da zamało, albo zbyt jawnie gotowi się obrazić. Interesant więc musi szukać sposobów. Czasem częstuje tabaczką pomięszaną z dukatami. Jeśli taka tabaka zasmakuje dygnitarzowi i zażąda raz, drugi i trzeci, to dobry znak. W ważniejszej sprawie podaje się akta do przejrzenia — a w każdym arkuszu musi być sturublówka. Jeśli dygnitarz powie, że jeszcze tej sprawy nie rozumie i lepiej się musi w niej rozpatrzyć — to znaczy: „Za mało mi dałeś“. W takim razie trzeba mu więcej akt dostarczyć, aby lepiej zrozumiał.

Jeden tylko rodzaj łapówek nie jest tolerowanym, niemniej jednak najwięcej może uprawianym, pomimo iż wielu już zesłano za to na Sybir. Ale to kwestya tylko większego sprytu, nic więcej.

Mówię tu o nadużyciach przy poborze do wojska. Zdarzało się, iż całe komisye ze wszystkimi wspólnikami pod sąd oddawano — a jednak nikt tego wykorzenić nie może. Nie należy się też dziwić, że rząd tak się o to gniewa. Wszak tu chodzi o jego siłę brutalną — o wojsko. Reszta, to mniejsza, nic go nie obchodzi. Komisye wojskowe jednak biorą, ale za większe ryzyko, biorą grubiej i ostrożniej.

Ale rządowi tylko o to idzie, aby dostać żołnierza. Później, gdy go już w mundur ubiorą, nikt się o niego nie troszczy. Wtedy już wolno brać łapówki za jego krzywdę. Biorą też wszyscy, od wachmistrza aż do generała — a dostawcy miliony zarabiają, pomimo, iż tam nie ma wiele do zarobienia. Koń wojskowy znacznie lepiej żywiony niż żołnierz, któremu 2 razy dziennie dają nędzną strawę bez mięsa. Pieniędzy zaś aż 30 kopiejek dostaje na... 4 miesiące, czyli $^1/_4$ kopiejki dziennie. A jednak jeszcze go wyzyskują!

Osobiście znałem dymisyonowanego pułkownika, który w czasie kampanii krymskiej, będąc tylko czemś w rodzaju felczera, zrobił znaczny majątek w ten sposób:

Z powodu epidemii tyfusu, rząd kazał dawać żołnierzom limoniadę, przeznaczając w tym celu na każdy pułk pewną ilość cytryn. Ale któżby robił takie zbytki, na co żołnierzowi limoniada? Pan pułkownik więc wymyślił nowy sposób przyrządzania tego napoju. A sam osobiście pilnował, aby żadnego żołnierza nie ominęła jego porcya. Szedł tedy przed frontem a za nim jeden żołnierz niósł konewkę wody, drugi zaś rozkrajaną cytrynę. Pan pułkownik sam każdego żołnierza z osobna pyta: „Kuszał ty limon?“ (Czy piłeś limonadę?) „Niet, wasze błagorodie“ — brzmiała odpowiedź. Wtedy żołnierz cytryną pocierał mu usta, a drugi podsuwał konewkę, zachęcając: „Popij wodą!“

I tak ci szafarze zdrowia szli od jednego do drugiego, częstując swą limonadą.

Połową cytryny w ten sposób obdzielono cały oddział. — A czy taka limonada pomogła, cóż to komu do tego? Pan pułkownik tymczasem wróciwszy z wojny, kupił sobie w Polsce ładne dwie wsie. A gdy jeszcze później dano mu awans, szlachectwo i order, czegoż mu więcej do szczęścia było potrzeba? Sumienie miał spokojne, bo spełnił swój obowiązek jako wierny sługa cara. Słusznie też nagrodę otrzymał.

I dziwićże się teraz, że w szpitalach więcej na cholerę umiera, niż w domu. Dziwić się, że lud nie chce do szpitalów oddawać swych krewnych, raczej gotów życie położyć, buntuje się, chce mordować doktorów i t. d.

Zobaczcie szpitalne lekarstwa, zobaczcie, jak się tam leczy — a będziecie mieć odpowiedź i zrozumienie, że się nad tym biednym ludem raczej litować trzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Polska nie dostąpiła tej łaski.

Zasłużonemu Nauczycielowi literatury polskiej
Chociszewskiemu Józefowi.

„Hart duszy mojej zna dobrze fortuna,
Im silniej chłoszcze, tem gardzę nią więcej!“
Szekspir.

Gdy tryumfalnie idą wielkości pozoru
Od fortuny migotów, tej fortuny szlakiem,
Wśród tajników natury Bożej rozhoworu,
Ty na niwy serc czystych „drobnym siałeś makiem“.

Ziarneczko Twego maku niby ziarnko prochu —
Niby piasku, z którego nasza ziemia cała —
Siła, co pcha nie nagle ciężar, lecz po trochu —
Niby iskra, co pali wszystko, chociaż mała.

Sława Tobie na wieki! Lecz chciej wiedzieć o tem,
Że gdy łzami ten mak Twój skropiłeś i potem,
Mak ten przyszłej potęgi zostanie krynicą —

I od dzisiaj fortuna brzydka, bezrozumna,
Swawolą i próżnością ciężarna i dumna,
Zostanie u stóp Twoich skromną niewolnicą!
Bonawentura.

Tomice, 28. 7. 1900.

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Poznańscy.

(Ciąg dalszy.)

83. MIECZYSŁAW Hrabia LEDÓCHOWSKI,

urodził się 29 października r. 1823 we wsi dziedzicznej Górki pod Klimontowem z Józefa Zacharyasza hrabiego Halki Ledóchowskiego, herbu Szaława i Maryi Zakrzewskiej. Prałat domowy Piusa IX i protonotaryusz apostolski, delegat apostolski w południowej Ameryce, został w r. 1861 Arcybiskupem Tebańskim, był równocześnie Nuncyuszem papieskim przy dworze brukselskim. W dniu 16 grudnia r. 1865 wybrany na Arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, odbył ingres do Poznania 24 kwietnia r. 1866. W r. 1877 został wyniesionym do godności Kardynała.

Rodzina Ledóchowskich z najstarszych

i najznakomitszych pochodząca w Polsce, miała za protoplastę Halkę, który miał żyć około r. 980 na dworze ruskiego księcia Włodzimirza, z nim pokrewniony. Jeden z potomków tego Halki, Nestor, żyjący w XIV wieku, walczył mężnie przeciw Litwinom, za co mu Kaźmirz Wielki nadał dobra Ledóchowo, położone na Rusi w pobliżu Krzemieńca. Od tych dóbr przyjął ród Halków nazwisko Ledóchowskich, zatrzymując obok nazwiska przydomek Halka.

Iwan i Wacław Halkowie walczyli pod Grunwaldem w r. 1410 przeciw Krzyżakom pod Władysławem Jagiełłem, a Stanisław Halka już Ledóchowski wystąpił za Augusta II przeciw Sasom, dającym się już dobrze we znaki. Dziadem dzisiejszego Kardynała był Antoni Halka Ledóchowski, który na pamiętnym sejmie czteroletnim stawał w obronie Kościoła i włościan i we własnych dobrach znaczne poczynił ulgi włościanom.

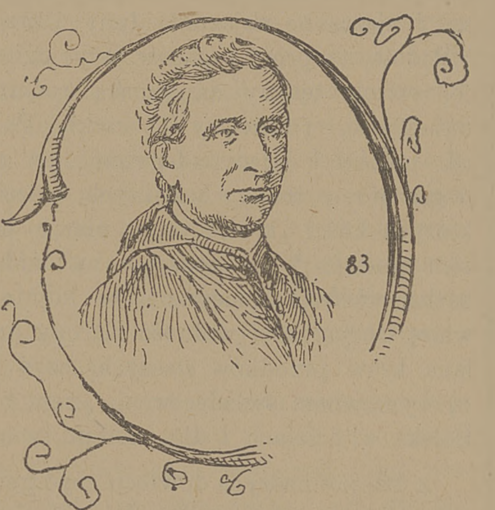
Początkowe nauki pobierał młody Mieczysław najpierw w domu rodzicielskim, a następnie w Radomiu i Warszawie. Należał do najcelniejszych uczniów w szkołach i od cesarza Mikołaja otrzymał nagrodę za język rosyjski. Ukończywszy szkoły, wstąpił do seminaryum księży Misyonarzy w Krakowie i jako 18 letni młodzieniec przywdział sukienkę duchowną. Udał się potem do Rzymu na nauki teologiczne. W Rzymie zwrócił na siebie uwagę Papieża Grzegorza XVI, który wyświęcił go na dyakona, a dnia 13 lipca 1845 r. wyświęconym został tamże na kapłana i pierwszą mszą św. odprawił przy grobie św. Piotra.

Pius IX, który wstąpił na Apostolską Stolicę po Grzegorzu XVI, zamianował młodego ks. Mieczysława swoim domowym prałatem i protonotaryuszem. Później nieco wysłał go z Nuncyuszem di Pietro do Lizbony w charakterze audytora. W Portugalii tem mianowicie się odznaczył, że publicznie pokazywał się wszędzie w stroju duchownym, czego duchowieństwo portugalskie nie czyniło z obawy przed napaściami rewolucyonistów. Dobry przykład młodego ks. Mieczysława podziałał skutecznie na portugalskie duchowieństwo.

Po powrocie z Portugalii wysłał ks. Mieczysława Pius IX do Południowej Ameryki w charakterze apostolskiego delegata. Miał tam pod sobą pięć rzeczpospolitych na północ od równika i mieszkał w stolicy Nowej Granady w mieście Santa Fé di Bogota, zkąd odbywał częste i dalekie podróże, połączone z wielu trudnościami i niebezpieczeństwami, do odległych krain swej delegacyi. Pięć lat przebył w Ameryce, którą musiał opuścić po wybraniu na prezydenta rzeczypospolitej jenerała Morquery. Stosunki wówczas tak się bowiem pogorszyły, że wysłano nawet za delegatem papiezkim najętego zbira z poleceniem odebrania mu życia. Tego niebezpieczeństwa szczęśliwie uniknął ks. Mieczysław.

W nagrodę za tak gorliwą i pełną trudu pracę około dobra Kościoła, mianował go Pius IX Arcybiskupem Tebańskim i prekonizował na konsystorzu w dniu 30 września 1861 roku. Kardynał di Pietro w asystencyi Arcybiskupów Franchi i Vitelleschi konsekrował ks. Mieczysława na Arcybiskupa dnia 3 listopada tegoż roku. Zaraz też po tem jeszcze w roku 1861 wysłał go Ojciec św. w charakterze Nuncyusza swego na dwór belgijski. Po wielu, wielu latach po raz pierwszy znowu dostało się cudzoziemcowi tak wysokie stanowisko, gdyż Nuncyuszami bywali dotąd prawie sami Włosi.

W Belgii lubo przeważnie katolickiej, duch niewiary szerzył się podówczas bardzo i zadanie Nuncyusza było wcale nie łatwem, któremu jednak sprostał ku zadowoleniu Piusa IX-go. To też gdy ks. Arcybiskup Przyłuski zakończył życie w dniu 12 marca 1865 r. Pius IX zaproponował rządowi pruskiemu powierzenie archidyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej brukselskiemu Nuncyuszowi, Mieczysławowi hr. Ledóchowskiemu. Rząd zgodził się na tę kandydaturę, a kapituły gnieźnieńska i poznańska powiadomione o tem, na wspólnem zebraniu odbytem w Gnieźnie w dniu 16 grudnia 1865 r. jednogłośnie



Mieczysław, hr. Ledóchowski.

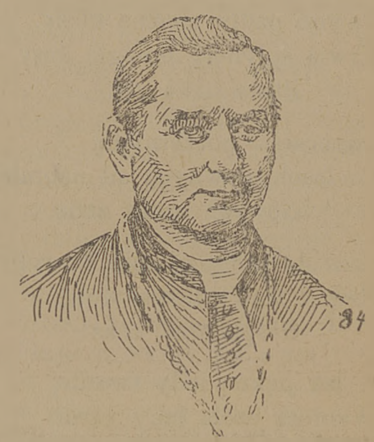
wybrały M. hr. Ledóchowskiego Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim. Niebawem też administrator archidyecezyi ks. Janiszewski i ś. p. ks. prałat Brzeziński pojechali do Brukseli, aby prosić ks. Mieczysława o przyjęcie padłego nań wyboru. Nuncyusz nie odmówił tej prośbie i Pius IX prekonizował go na konsystorzu w dniu 8 stycznia 1866 r. na Arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego.

Po konsekracyi wyjechał ks. Mieczysław z Brukseli do Rzymu i zabawił tam aż do początku miesiąca kwietnia, przysposabiając się na nowe swe wysokie a trudne stanowisko. Z Rzymu udał się wprost do Berlina, gdzie w dniu 14-go kwietnia 1866 złożył przepisaną ustawami przysięgę i w dniu 24 kwietnia tegoż roku odbył uroczysty i wspaniały ingres do Poznania na stolicę arcybiskupią. W sierpniu zaś tegoż roku odbył ingres do Gniezna. W roku tym pamiętnym i wojną austryacką i cholerą, która dość groźnie panowała w Poznaniu, nowy Arcypasterz niejednę łzę otarł i osobiście spieszył nieraz do łoża chwaliszewskiego i śródeckiego mianowicie biedactwa, wijącego się w kurczach cholerycznych.

Wizytacye pasterskie rozpoczął od kościoła katedralnego, poczem wizytował bardzo skrupulatnie wszystkie kościoły poznańskie, a następnie na prowincyi. W dniu 8 listopada 1869 wyjechał do Rzymu na sobór powszechny, który otwartym został uroczyście w dniu 8 grudnia tegoż roku. Wrócił do Poznania po wybuchnięciu wojny francuzko-niemieckiej w r. 1870.

Niebawem po tem nastąpiły dla Kościoła katolickiego w Prusach smutne czasy. Seminaryum duchowne w Poznaniu zostało przez rząd zamkniętem na dniu 1 października 1873 r. i od tego też czasu zaprzestał rząd wypłacać ks. Arcybiskupowi należną mu pensyą. W listopadzie też tegoż roku zawezwał naczelny prezes ks. Arcybiskupa do złożenia dobrowolnie swego urzędu. Za ustanowienie duchownych bez poprzedniego zawiadomienia władz rządowych skazany na różne, znaczne kary pieniężne, został wyfantowanym. Wreszcie gdy dobrowolnie urzędu swego złożyć nie chciał, został na dniu 3 lutego 1874 roku aresztowanym i wywiezionym do ostrowskiego więzienia. W dniu zaś 15 kwietnia tegoż roku berliński trybunał dla spraw kościelnych złożył ks. Arcybiskupa z biskupiego urzędu. Pius IX uznając wszystkie te zasługi i cierpienia poniesione dla dobra Kościoła, zamianował go na dniu 15 marca 1875 r. Kardynałem.

Po odsiedzeniu dwóch lat w więzieniu ostrowskiem, wypuszczonym został na wolność, a raczej zawiezionym do Berlina przez pruskich urzędników w dniu 3 lutego 1876 r. Z Berlina udał się najpierw do Pragi, potem do Hradiszcza na Morawie dla odwiedzenia brata swego Antoniego, wreszcie do Krakowa, gdzie stanął 15 lutego. Ale już wskutek rozkazu nadesłanego z Wiednia, musiał w dniu 21 lutego 1876 Kraków opuścić. W miesiąc po wyjściu z więzienia dnia 3 marca 1876 r. znalazł się w wiecznem mieście, gdzie Pius IX przyjął go z wielką radością i serdecznością.



84. JULJUSZ Dr. DINDER.

Urodził się 9 marca r. 1830 w Reszlu na polskiej Warmii, gdzie język polski jest dotąd używanym powszechnie. Kształcił się najpierw w swem rodzinnem mieście, uczęszczając do progimnazyum. Następnie udał się do gimnazyum w Brunsberdze a potem do liceum Hosianum i seminarjum duchownego tamże.

W r. 1856 otrzymał święcenia kapłańskie. Pierwsze 10 lat był wikaryuszem w Biskupcu w okolicy polskiej, poczem został proboszczem w Gryźlicach, również w okolicy, w której lud mówi po polsku. Po ks. Namszanowskim, powołanym na Biskupa polowego, został w r. 1869 proboszczem w Królewcu, kapelanem wojskowym i nauczycielem religii katolickiej w królewieckich wyższych zakładach naukowych. Następnie otrzymał godność kanonika honorowego katedry warmińskiej i został równocześnie niemal dziekanem sambijskim. Brewem Leona XIII z 2 marca r. 1886 mianowany Arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim, potwierdzonym został 26 marca tegoż roku przez króla pruskiego i cesarza niemieckiego Wilhelma I.

W dniu 30 maja 1886 r. konsekrowanym był w katedrze wrocławskiej przez księcia-Biskupa wrocławskiego ś. p. ks. Herzoga, Biskupa-sufragana ś. p. ks. Cybichowskiego i Biskupa-sufragana wrocławskiego ś. p. ks. Gleicha.

Do Poznania przybył 7 czerwca 1886 r., odbył następnego dnia 8 czerwca ingres na stolicę arcybiskupią. Dnia 26 czerwca tegoż roku otrzymał w archikatedrze poznańskiej palljusz z rąk ś. p. Biskupa Cybichow-

skiego a w dniu 30 września odbył ingres na stolicę gnieźnieńską, na której zasiadł tylko na czas krótki, gdyż umarł w maju 1890 r. w Poznaniu, gdzie go pochowano w katedrze.

(Dokończenie nastąpi.)

SIEWY.

— A dopomóż Panie Boże!
—- Panie Boże daj!
Pług za pługiem oto orze
Jak szeroki kraj!

Hej! głęboko a szczęśliwie
Krajmy skiby na tej niwie:
Siew za pasem, siew!

Dawno przeszły żniwa znojne,
Żniwa długie, niespokojne,
Łzy, i pot, i krew...

Dawno padły zbożne kłosy,
Krwią spłynęły mnogie kosy,
Pusta niwa już.

Odpoczęła, poczerniała,
Po łzach, dawnych sił nabrała,
Nowych czeka zbóż.

Czas do pługów, czas do roli,
Rzucić siewy nowej doli,
Gospodarze, czas!

A jak pękną lody twarde,
Wzniosą czoła łany harde
Joko bór, jak las.

Choć za pługiem wrona kracze
Na złą dolę wam, oracze —
Plon wyrośnie, plon!

Jeszcze długa, ciężka zima,
I niejeden nie dotrzyma,
Niejednemu skon...

Lecz kto plonów złotych pragnie,
Niech do pługa czoło nagnie:
Orać nam i siać!

I nie ustać w krwawym trudzie,
I nie marzyć nam o cudzie:
Samym dolę brać.

A jak z wiosną słońce wstanie,
Jak rozejrzy się po łanie,
Rajże będzie, raj!

Więc kto sieje, a kto orze,
To — dopomóż Panie Boże!
Panie Boże daj!

Maryla Markowska.

Miłość Ojczyzny.

Napisał
Franciszek Mąkowski.

(Dokończenie.)

Podczas gdy Polska, niby wał obronny, wstrzymywała dzicz Mongołów i hordy tatarskie, gdy tamowała zapędy muzułmanów i zbutwiałej schizmy, mogła spokojna Europa rozwijać zasoby, mogła przez nietamowany handel i przemysł podnosić swój dobrobyt wyzyskując nas nawet; mogła się organizować, mogła w pokoju oddać się swobodnie pracy około roli i postępu ludzkości. Wszakże Polska słusznie przedmurzem Europy, a te straszne pożarów łuny, dobytek rolników naszych pochłaniające, te dymiące zgliszcza i niszczone najazdem łuny Ukrainy i Podola, te prowadzone w jasyr dziewice, wzrok tęskny za wioską rodzinną wysełające, te siostry i matki Polki, od mężów i dzieci oderwane, te niepogrzebione trupy bezsilnych starców, których kości „kmieć trąca nieraz żelazem oraczem;“ te konające na dzidach barbarzyńców niemowlęta, ta hojnie za wiarę Chrystusa i wolność Europy przelana krew przodków naszych, czyż nie są wymownem świadectwem, czem była Polska w dziejach i dla postępu świata?

Z dziejów naszych dowiecie się o gnieździe białych orląt, o Wandzie, Krakusie i kołodzieju Piaście, którego lud księciem swoim obrał, dowiecie się o Mieszku, co przejrzał, wiarę Chrystusa przyjąwszy, o Bolesławach, co na wschodzie szczerbcem o bramy uderzali Kijowa, a od zachodu obce wstrzymywali najazdy. Z dziejów naszych dowiecie się o Kaźmierzach: Sprawiedliwym i Wielkim, co budował i podnosił miasta polskie, a nadawszy ludowi prawa, ubogim kmiotkom dzieci do chrztu podawał.

Z dziejów naszych dowiecie się o Jagiełłach i Zygmuntach, co dwa dotąd nieprzyjazne sobie narody, Polaków i Litwinów zbratali, dowiecie się o Stefanie Batorym, który osobiście zwiedzał szkółki wiejskie, a odważnego chłopa Wielocha za czyn bohaterski szlachcicem zrobił.

Z dziejów naszych dowiecie się, jak naród polski ubogiego Wiśniowieckiego dla zasług ojca królem obrał; dowiecie się dalej, jak to poseł cesarza niemieckiego Leopolda na klęczkach błagał króla naszego Jana o ratunek, wołając: „królu ratuj Wiedeń!“, a nuncyusz Ojca św. wołał: „ratuj chrześcijaństwo!“ Z dziejów naszych dowiecie się, jak Sobieski dzielną prawicą zdruzgotał buńczuk sułtański i półksiężyc, który z wiedeńskiej wieży św. Szczepana przyświecać miał zwalczonemu światu, a który zdeptały kopytami dzielne rumaki dzielniejszej jazdy polskiej.

Z dziejów dowiecie się, że Europa i Niemcy ocalały, ale czarną za to Polsce odpłaciły się niewdzięcznością za pomoc, za krew hojnie za nich przelaną.

Z dziejów się naszych dowiecie o najpiękniejszym wykwicie prac naszych narodowych, owej reformie prawodawstwa i ustroju państwowego, owej przesławnej konstytucyi 3-go Maja, przez którą wszyscy w Polsce dojść mieli do wolności, jakiej w całej nie było Europie.

W dziejach naszych doczytacie się o naczelniku Kościuszce, co w białej chłopskiej sukmanie wojskom przewodził, o chłopku Bartoszu Głowackim,

„co blaskiem kosy
podniósł swe imię w niebiosy,“

o szewcu Kilińskim, co pocięglem Moskali wypędził z Warszawy; o rzeźniku Morawskim, co hartu topora na wrogów próbował karkach.

W dziejach naszych doczytacie się, że taż sama Austrya, którą Polska przed niespełna wiekiem od zagłady ocaliła, lejąc łzy krokodyle, wyciągała rękę po dział.

Czytając dzieje nasze, zobaczycie wesołe i wielkie chwile narodu, a z drugiej strony smętne i ponure obrazy. „Dusza smutkiem obciążona konać będzie pod ciężarem krzyża;“ ze serca goryczą przepełnionego, wśród niedoli i jęków narodu wydobędzie się okrzyk żalu i wyrzutu; wśród tonów tryumfu pieśni, przez łzę zroszone powieki przeciśnie się do źrenicy duszy, jak płomieni potok krwawy, dramat porozbiorowy.

Szczęk broni na Maciejowic polach, huk armat wśród wąwozów Somosierskich i nad Berezyny nurtami złowieszczy brzęk podzwaniającej kibitki i poważny odgłos listopadowej nocy; bratobójczy topór Szeli i „Prosta droga Sokołowa,“ wszystko to zmięsza się z przeraźliwym skrzypem szubienic, z głośną modlitwą zasypywanych Kamczatki śniegami i tych, co konając pod ręką katów białego cara, z tchnieniem uciekającego życia zanoszą protest i wołają:

„Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“

Przewracającym ostatnie kartki dziejów, przyjdzie zawołać z konającym Chrystusem: „Spełniło się“ i ujrzycie oswobodzicielkę chrześciaństwa:

„ . . . . jako męczona,
Z krzyża ku światu podnosząc ramiona,
Jak Chrystus „pragnę“, „kocham“ szepce drżąca,
I ujrzycie promieniste słońca,
Co nad potopem krwi jej się palą,
Jak gdzieś ogniki błędne po nad falą.“

Zamknięto wieko trumny, w której spoczęła Matka, — ale *nie zamknięto dziejów naszych!*

Wszakże dzieje nasze nam powiadają, że póki starczy świata, póki krzyż chrześciański będzie godłem zasad uczciwych, póty imię Polski w dziejach ludzkości nie zaginie.

Poznawszy dzieje narodu twego, byłbyś głazem, byłbyś gorszym od zwierza, co swą ulubował jamę, gdybyś niemiał

ukochać przeszłości ojców twoich i gdybyś przez nią nie umiłował Ojczyzny twojej.

Nie byłbyś człowiekiem na obraz i podobieństwo Boże stworzonym, gdybyś nie miał ukochać Ojczyzny we wszystkich jej odcieniach, ze wszystkiego serca twego, z całej duszy twojej, więcej niż siebie samego. Przed taką miłością pierzchną podszepty wszystkich tych, którzyby Ojczyznę wyrugować ci pragnęli ze serca. W piersi twej wielką pieśń miłości Ojczyzny grającej, odezwie się głos, co nam woła:

„. . . . krzyż nas nie przestrasza,
Bo nadzieja w krzyżu nasza!“

Dziś Polska płonie na stosie barbarzyńskich polityków, co wymazawszy ją z karty Europy, pragnęliby imię jej zatrzeć w dziejach świata; ale oko pogrobowych rozbitków widzi ponad falami rozhukanego oceanu zbawienia przystań, widzi w dali migający płomień latarni morskiej, z której bije światło wiary. Pokrzepieni wiarą, rozgrzani miłością Ojczyzny, ufać możemy Opatrzności Bożej, że jak owa Małgorzata z Ziębocina, co to za Bolesława Śmiałego wdowie przybrawszy szaty, dobrowolnie się w wieży zamknęła i dopiero za powrotem jego z Kijowskiej wyprawy w godowych wyszła szatach, tak Polska zrzuci wdowieństwo swoje i przywdzieje napowrót szaty weselne. Tej wiary w przyszłość naszą i sprawiedliwość Bożą nikt nam nie wydrze, bo ona jak prąd elektryczny poruszać będzie każdem tętnem pogrzebanego, ale żyjącego ciała; bo ona przez szczeliny, miłością Ojczyzny rozsadzone, doprowadzać będzie niezbędne dla życia powietrze zdrowe.

W Bogu nadzieja nasza, bo on czuwa nad narodem, co nad Gopłem się osiedliwszy, łagodnością się i sprawiedliwością kierował i dobywał oręża tylko w rzeczywistej potrzebie, na obronę własnych siedzib. Najwyższy nie opuścił narodu, co spieszył z pomocą zagrożonym i uciśnionym, co potężną Bolesławów, Łokietków i Jagiełłów prawicą, jak orzechów łupiny gruchotał najhartowniejsze szyszaki i zbroje; co krzywą szablą wstrzymywał groźnych carów Moskwy, Turków, Tatarów, Szwedów, krwią męczeńską szczodrze zlewając tę ziemię, której garść każda, wedle słów Ojca św. Pawła V, jest relikwią. Zmiłowania Bożego tem więcej nam potrzeba wśród obecnego smutnego położenia naszego, gdzie nas nawiedzają nawałnice ukazów i bundów Hakaty przeciwko narodowości naszej skierowanych, ażeby nas i dzieci nasze zmoskwiczyć, zniemczyć i wydrzeć nam najdroższe skarby nasze: miłość Ojczyzny i język nasz piękny.

Miłość tedy niech będzie łańcuchem, który nas połączy. Jeżeli pragniemy, aby Bóg zorzę roztoczył nad nami, to nie rozdwajajmy się na stronnictwa, ale złóżmy urazy pod grobowy kamień Matki, to ukochajmy się wzajemnie, to ty, panie, złóż pychę u stóp krzyża i uściśnij spracowaną rękę kmiotka i uszanuj w uczciwym rodaku mieszczaninie jego zawód, ty zaś kmiotku i mieszczaninie zaufaj panu.

Miłością Ojczyzny rozgrzani, pamiętajmy wszyscy, że zadaniem to obcych, aby niedobitych braterska Kaina dławiła ręka, że tylko wtedy, gdy magnat i nędzarz, pan rozległych ziemi obszarów i kmiotek, rólnik i przemysłowiec, kapłan i obywatel, starce i młodzież, mężczyźni i kobiety, wyrzekną się samolubstwa, pychy i tych wszystkich grzechów, które nas w egipskiej trzymają niewoli i gdy wszyscy zgodnie ruszą w pochód ku obiecanej ziemi Kanaan — wtenczas stanie się cud...

A ktoby się od pochodu takiego, w którym wszystkie stany udział brać mają, jako Targowiczanin wyłączał, tego niechaj spotka pogarda nasza, tego niechaj ściga przekleństwo Matki nieszczęśliwej, a trup jego niepogrzebiony niechaj się tarza na postrach jak ów trup Sicińskiego za krzywdę Ojczyźnie wyrządzoną.

Jeśli mówimy, że kochamy Ojczyznę, to podajmy sobie wszyscy braterskie dłonie w pracy około dobra wspólnej nam matki Ojczyzny; niechaj wszystkich złączy miłość i ożywi wiara, a wtedy możemy mieć nadzieję, że nas żadna nie zmoże siła, że otworzą się na rozcież wrota od Polski grobowca i odpadnie wieko trumny, a Matka nasza najdroższa wyjdzie do osieroconych dziatek w świetlanej szacie anielskiej. Bóg zaś zorzę roztoczy nad nami i udaruje nas wolnością. Wtedy chór świętych patronów ziemi naszej śpiewać będzie z aniołami:

„Hosanna ludowi polskiemu!“ —

i obwieści zjednoczonym dzieciom zmartwychwstałej Matki niepodległość na trzy szmaty rozdartego królestwa.

„Wtenczas usłyszy podły bluźnierca
Naszą odpowiedź: „Bóg był i jest.“

Król Wiktor Emanuel III.

O nowym monarsze włoskim i jego małżonce, których portrety zamieściliśmy w ostatnim numerze „Pracy“ opowiada wysoko położona osobistość:

Wielkiemu wykształceniu umysłu i szlachetności usposobień młodego króla wyrównywa tylko dumna jego ufność w przyszłą potęgę i szczęśliwość odrodzonej ojczyzny. Za to szczęście Włoch oddałby chętnie każdą kroplę swojej krwi serdecznej. Włochom brak tylko — mawia zwykle — żarliwej wiary w siebie silnego twórczego męża; gdyby ją miały, naród pozbyłby się wątpliwości swoich, niedowierzania i małoduszności, w których fizycznie i moralnie karleje. Brak mu myśliciela i poety, brak mu silnej pięści.

Ten aforyzm odzwierciedla wybornie sposób myślenia młodego króla. Gdy ta myśl o wielkości ojczyzny podnieca go niemal aż do przesady, zresztą jest on dobroduszny i skromny. Kiedy rozmawia z ludźmi, nawet najprostszymi, nie pozuje na potęgę ziemską, nie chełpi się wielką wiedzą, którą posiada, ale pyta, pyta jasno i ściśle, nie spocznie, dopóki swojego interlokutora nie przeniknie do głębi. Sądzi bowiem: „Jak niema tak złej książki, aby się z niej czegoś nauczyć nie było można, tak niema istoty tak pośledniej, aby nie mogła pomnożyć światła nawet najbardziej, wyposażonego w wiedzę umysłu.“

Król zna gruntownie historyę polityczną i cywilizacyjną swojego narodu i dlatego właśnie przy swojej zewnętrznej surowości jest on łagodnym i wyrozumiałym sędzią zboczeń swoich współczesnych ziomków, byle tylko szczerze dobra pragnęli. Nienawidzi wszelkiej połowiczności i chwiejności. „Lepiej działać i mylić się, aniżeli gnuśnieć i tępieć“ powiada. Nieprzyjaciel dworszczyzny, zamiłowany jest namiętnie w prostocie życia domowego. Po matce odziedziczył potoczystość wymowy, po ojcu dobroć serca. Stosunek króla do żony jest najczulszy; nigdy się z nią nie rozłącza; na polowaniach swoich, na pogoniach za zdobyczami numizmatycznemi i w podróżach morskich ma ją zawsze przy sobie; królowa odpłaca też miłość męża wdzięcznością i przywiązaniem. Wojsku poświęca król Wiktor Emanuel największą pieczołowitość, jako najsilniejszemu wyrazowi siły narodowej. Potężną flotę uważa również za postulat. Fanatycznie kocha morze, jego czar i majestat.

* * *

Niezmierną prostotą i skromnością odznaczało się dotychczasowe pożycie domowe i małżeńskie następcy tronu włoskiego.

Wiktor Emanuel zimą i latem wstaje o godzinie piątej zrana. Przedewszystkiem załatwia swoją korespondencyą prywatną; o godzinie 7-ej zasiada wraz ze żoną do śniadania, o godzinie 9-ej odjeżdża do biura komendy jeneralnej swojego korpusu, gdzie pracuje z trudną zaiste do naśladowania sumiennością i ścisłością. Inspekcye swoje podejmuje najniespodziewaniej, częstokroć zjawia się w najodleglejszych załogach już o godzinie 4-ej zrana. Oficerowie i żołnierze przygotowani są na te alarmy nocne. Dlatego korpus następcy tronu był najsprężystszy i najkarniejszy ze wszystkich.

Punktualnie o godzinie 12-ej w południe podawano śniadanie, złożone z dwóch tylko potraw; czasem królowa własną ręką sporządza jakieś słodycze, które wówczas Wiktor Emanuel z prawdziwą rozkoszą spożywa. Godziny między śniadaniem i obiadem poświęcone były pracy i wycieczkom. O godzinie 7-ej podawano obiad, na który zapraszano zwykle parę osób. Po obiedzie odbywał się *cercle*, w którym uczestni-

czyli uczeni, artyści i oficerowie. O godzinie 10-ej udaje się Wiktor Emanuel na spoczynek.

Do ulubionych przyjemności obojga małżonków należą kwiaty, kanarki, łowy, i podróże morskie. Na wyspie Monte Christo zbudowali sobie w zaciszu mirtów mały zameczek, do którego chronili się przed zgiełkiem świata, ilekroć było można. Tam dzielili się troskami i rozkoszami dnia tylko ze starym rybakiem i jego żoną. Gospodarstwem zajmowała się wyłącznie żona, dzisiejsza królowa Helena.

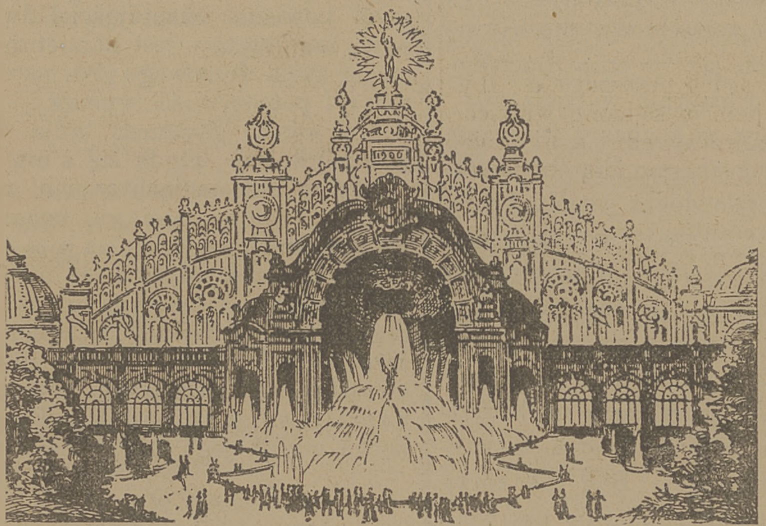
Tak się przedstawiał dotąd ten królewski żywot miłości, pracy i prostoty.

K. W.

Wystawa paryska.

Paryż, 13-go sierpnia.

Wśród kolonii angielskich, które rozsiadły się w pobliżu pałacu Trocadero, szczególną uwagę zwraca Ceylon. Płeć piękną zainteresuje przedewszystkiem w tym pawilonie wspaniały zbiór drogich kamieni, które świecą całą gamą różnobarwnych blasków.



Pawilon elektryczności.



Mareorama.

We mnie, wyznaję szczerze, jeszcze silniejsze zajęcie obudziły okazy herbaty i dane statystyczne, wykazujące rozwój hodowli drzew herbacianych na uroczej wyspie, która według pewnych podań, miała być biblijnym rajem ziemskim. Znaczyłoby to, że jestem fanatycznym zwolennikiem brunatnego napoju? Wcale nie, lecz postępy, osiągnięte przez osadników angielskich, stanowią interesujący przykład silnej woli, wytrwałości i energii rasy anglo-saskiej, o której wyższości tak wiele teraz mówi się i pisze.

Owe próbki różnych odcieni mają jeszcze inne znaczenie. Gdy na wybrzeżach chińskich huczą działa i warczą pobudki bębnów do ataku, wystawa cejlońska zwiastuje inną, w pokojowy sposób prowadzoną wojnę z państwem Niebieskiem, niemniej niebezpieczną, bo mogącą wywołać w finansach cesarstwa chińskiego bezpowrotną lukę. Kilka cyfr da wyjaśnienie.

Wiadomo powszechnie, jak poważnym spożywcą herbaty jest Anglia. W roku 1865 93% spożywanej w trójkrólestwie herbaty pochodziło z Chin. Indye wschodnie dostarczały 2%, Ceylon zgoła nic. Dzisiaj przywóz herbaty z Chin sięga zaledwie 10% ogólnej sumy spożycia, które zwiększyło się od tego czasu kilkakroć. Produkcya herbaty w Indyach wschodnich wynosi obecnie 155 milionów funtów rocznie, na wyspie Ceylon — 130 milionów. Że zaś produkcya ta wciąż się zwiększa, a gatunek herbaty ulepsza, przeto można się spodziewać niechybnie, iż niezadługo herbata indyjska i cejlońska wyprze chińską i z innych rynków europejskich.

Ciekawa jest geneza hodowli drzew herbacianych na Ceylonie. W r. 1874 jeszcze wyspa ta produkowała niemal wyłącznie kawę. Plantacye kawy zajmowały przestrzeń 150 tys. hektarów i przynosiły rocznie 125 milionów franków zysku. Naraz powstał popłoch. Mały a złośliwy grzybek, *hemileia vestatrix*, — który możnaby nazwać kawową *filokserą*, — począł niszczyć plantacye kawy z bezprzykładną szybkością. Właściciele zostali zrujnowani, nad wyspą zawisło bankructwo, banki pozawieszały wypłaty. Uboższa ludność popadła w nędzę, graniczącą z głodem. Koloniści europejscy, widząc, iż walka z fatalnym szkodnikiem jest bezowocną, jęli szukać ratunku na innej drodze. Spróbowali naprzód hodowli drzew chinowych. Usiłowania były pomyślne, — w r. 1884 Ceylon rzucił na rynki świata 13 mil. funt. zbawiennej kory. Ale wskutek nadmiernej podaży cena za funt kory chinowej, która wynosiła poprzednio 24 franki, spadła do 30 centymów. Ludność zyskała na tej taniości podstawowego w medycynie środka; nadzieje kolonistów zostały zawiedzione. Wówczas zwrócono się do uprawy drzew kokosowych, kauczukowych, pieprzu, wanilii itd. Dopiero jednak hodowla drzew herbacianych wróciła wyspie dawny dobrobyt. W ciągu kilkunastu lat miejsce dawnych plantacyi kawy zajęły plantacye herbaty; dziś przestrzeń ich wynosi przeszło 150 tysięcy hektarów.

Energia ludzka zwyciężyła żywiołową, niszczącą siłę przyrody. Zamiast biadać nad nieszczęściem, wzięto się do pracy, szukano nowych źródeł dochodów, nowych warstatów do pracy, i znaleziono je, i wrócono rozkosznej wyspie dawne bogactwo. Czyż historya nie jest pouczająca?

Kto chce spróbować herbaty cejlońskiej, ten może to uczynić w pobliskiej kawiarni, obsługiwanej przez ciemnoskórych Syngalezów. Mieszkańcy Ceylonu, mimo brunatnej skóry, cieszą się ogólnem powodzeniem. Istotnie, są zręczni i przystojni. Na pewną sferę Paryżanek wywierają magnetyczne wrażenie. Administracya ma z tego powodu biedę. Piękne Heleny porywają Parysów i nie ma kto roznosić herbaty. Nie trzeba dziwić się zbytnio: czyż tylko w Paryżu urodziwi Syngalezi doznawali równego powodzenia?...

* * *

Jak rolnicy, tak również kupcy i przemysłowcy wszystkich krajów odczuwają pewną wspólność interesów i w imię tej wspólności, dla omówienia tych interesów, zebrali się też na kongres międzynarodowy, zorganizowany przez paryską izbę handlową. Prawie wszystkie rządy były oficyalnie reprezentowane; rząd rosyjski przez p. Artura Raffałowicza, rzeczywistego radcę stanu, tutejszego ajenta ministerium skarbu, członka korespondenta akademii nauk etyczno-politycznych i znanego ekonomistę. Rozumie się, minister handlu i przemysłu, Millerand, przybył na pierwsze zebranie i zapewnił członków zjazdu o całej swej sympatyi i poparciu.

Odrazu się też zaznaczył antagonizm między rolnikami a przemysłowcami i kupcami, gdy bowiem pierwsi byli w większości i to znacznej, za protekcyonizmem, drudzy powzięli uchwały, domagające się zawiązywania między państwami traktatów handlowych w duchu jak najmniej krępującym swobodną wymianę i postanowili nawet założyć międzynarodowe stowarzyszenie w celu popierania wolnego handlu oraz wydawać międzynarodowy biuletyn w tym samym kierunku; biuletyn ten ma stanowić zarazem organ informacyjny.

Prócz tego zajmowano się następującemi ważniejszemi kwestyami: walką przeciw „trustom“ i „kartelom“ czyli organizacyom przedsiębiorców w celu utrzymania cen na wysokim poziomie; w tej kwestyi referował p. Raffałowicz w duchu dla tych organizacyi nieprzychylnym; dalej: — zmniejszeniem wogóle podatków, ciążących na handlu i przemyśle, a w szczególności na papierach wartościowych; złagodzeniem prawodawstwa o bankructwach; zaostrzeniem międzynarodowego prawodawstwa przeciw fał-

szerstwom i podrabianiu marek handlowych, podniesieniem wykształcenia technicznego młodzieży.

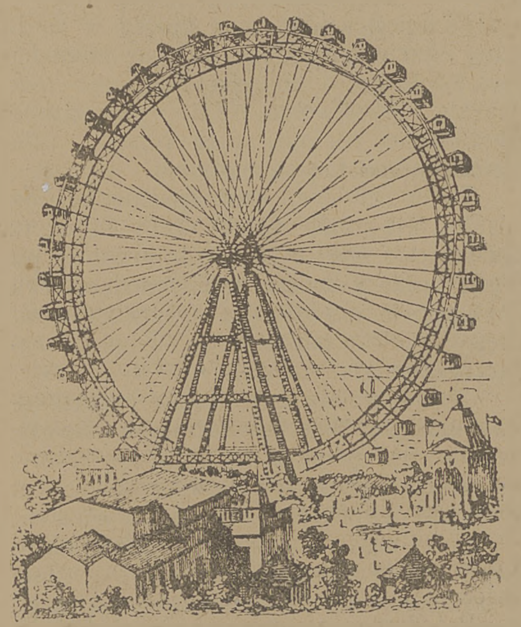
Ożywioną dyskusyę wywołał referat znanej publicystki i powieściopisarki, pani Danieli Lesueur, o pracy zawodowej kobiet. Zgodnie z wnioskami referentki kongres uznał, że wszędzie i zawsze powinno być przedewszystkiem zagwarantowane kobiecie normalne spełnianie jej funkcyi macierzyńskiej; że nieludzkiemby było ze strony przedsiębiorców wydalenie kobiet lub odmawianie im urlopu w razie potrzeby pełnienia tej pierwszorzędnej funkcyi społecznej; że jednak przy zachowaniu takich warunków nic nie stoi na przeszkodzie zawodowej pracy kobiet, że jest ona teraz niezbędna i pożyteczna, że kobiety w większości zawodów mogą pracować tak samo dobrze, jak mężczyźni, a w niektórych i lepiej, i że przedsiębiorcy powinni uznać zasadę dawania kobietom wynagrodzenia równego mezkiemu. jeśli praca ich jest równoważna.

Jeszcze jeden ciekawy rys do zanotowania: delegat urzędowy belgijski, p. Strauss, ku powszechnemu zadowoleniu wyraził przekonanie. że odtąd nazwy Belgijczyk. Francuz, Niemiec, Włoch i t. d. powinny być jakby imionami chrzestnemi, wspólnem zaś nazwiskiem każdego człowieka powinno być: „członek ludzkości“.

Odbywa się teraz po 8 i 10 kongresów międzynarodowych jednocześnie, niepodobieństwem więc jest nawet pobieżnie o każdym pisać.

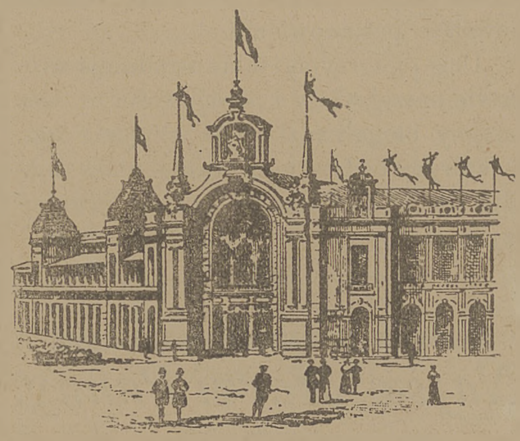
* * *

Na wystawie zajdą wielkie, tak zwane krachy u tych wszystkich przedsiębiorców, którzy poustawiali wielkie kioski i gmachy nawet, a w nich najrozmaitsze pomysły wprowadzili w czyn, by zaciekawić zwiedzających podróżnych



Wielkie koło czyli młyn djabelski.

z całego świata. Każde takie przedsiębiorstwo wymaga ogromnych sum, które zebrano za akcye. Teraz okazuje się, że tych przyjemności nagromadziło się zbyt wiele i że nie przynoszą procentu od włożonych w nie kapitałów. Skutkiem tych niedoborów już dziś nastąpiło kilka konkursów, a będzie ich więcej. Aby okazać, co to wszystko kosztowało. podaje jeden z dzienników francuskich następujący pogląd: bitwa morska kosztowała 1 milion franków — olbrzymia kula ziemska 5 milionów fr. — wielkie koło. t. z. młyn djabelski, około 300 metrów wysokości 4 miliony fr. — Mareorama 5 milionów franków*) — Wezuwiusz w Paryżu 1 milion fr. — hippodrom 3 miliony fr. — przewrócony dom 750 tysięcy fr. — panorama Rzymu 600 tysięcy fr. — pałac kostyumów 2 miliony fr., dom szwajcarski 3 miliony fr. — panorama Madagaskaru 500 fr. — ulica



Pałac francuskiego handlu.

w Kairo 1,500,000 fr. — panorama podróży naokół świata 2 miliony fr. — chodnik ruchomy na okół wystawy 4 miliony fr. Tych przyjemności tylko część wymieniono, a jest ich przeszło sto. Aby to wszystko, co tam urządzono, widzieć, potrzeba czasu kilku tygodni a nie każdy zwiedzający tę wspaniałą wystawę ma tyle czasu i środków pieniężnych by wszystko dokładnie mógł obejrzeć, choćby z okazów przemysłu i sztuk pięknych, o przyjemnościach już niemówiąc.

Specyalny.

*) Patrz illustracye. — Przyp. Red.

Wniebowzięcie Najśw. Maryi Panny.

Pomiędzy wszystkiemi dorocznemi świętami, które Kościół ku uczczeniu Matki Bozkiej ustanowił, uroczystość Wniebowzięcia, 15 sierpnia obchodzona, zajmuje pierwsze miejsce. Z radością obchodzi Kościół poczęcie Najświętszej Panny, bo Ona sama jedna poczęła się bez zmazy grzechu pierworodnego, sama jedna pośród ludzi jest niepokalaną; — z radością świętuje Jej narodzenie, bo ono świat cały weselem napełniło; z radością obserwuje Jej oczyszczenie, które pouczyło ludzi, z jaką dokładnością i ochotą pełnić należy przykazania Boże; z radością przypomina wiernym Jej zwiastowanie, które światu bliskie przyjście Zbawiciela zapowiedziało, lecz z największą i najwyższą radością obchodzi Kościół święto 15 sierpnia, jako pamiątkę błogosławionej śmierci Najświętszej Matki Bożej, Jej święte i błogosławione uśpienie, wskrzeszenie i chwalebne wniebowzięcie, będące koroną i zasłużonem uwieńczeniem tak pięknego i świętego żywota, jaki taż Matka Bozka prowadziła.

Po Wniebowstąpieniu Pana Jezusa żyła jeszcze Matka Boża na ziemi przez lat 14, naprzód pośród wszystkich Apostołów, a kiedy się oni rozeszli w świat, pod opieką św. Jana Ewangelisty, któremu Pan Jezuus na krzyżu Matkę swą polecił. Kiedy zaś przeżyła lat 63, postanowił Bóg powołać ją do Siebie, zabrać ze świata, a połączyć znowu z Jej ukochanym Synem. Godzinę śmierci objawił Bóg Maryi przez archanioła Gabryela, czemu się wcale dziwić nie trzeba, bo Jeśli Bóg innym Świętym godzinę śmierci zapowiedział, to Marya tym bardziej na tę łaskę zasłużyła. Za sprawą i natchnieniem Bożem zeszli się także wszyscy apostołowie, rozproszeni po świecie, do Jerozolimy, aby się pożegnać z Matką Zbawiciela i być na Jej pogrzebie. Śród łez i łkania przystępowali wszyscy obecni do łoża Matki Bożej, Ona zaś wszystkich pocieszała, błogosławiła, dodawała otuchy i zachęty do wytrwałej walki z poganizmem i upartymi żydami, którzy nauki Chrystusowej przyjąć jeszcze nie chcieli. Potem — opowiada jeden z Ojców Kościoła, — bez boleści najmniejszej i bez bojaźni śmierci, oczy swe Matka Najświętsza jakoby do snu zamknęła, bo jak dodaje tenże Ojciec Kościoła, nie mając grzechu pierworodnego, nie mogła też znać przykrości śmierci, która jest karą zań. A gdy tak duszę Synowi swemu oddała, pochowali (tak świadczy św. Jan Damasceński), apostołowie ciało z wielkiem nabożeństwem w ogrodzie Oliwnym, dokąd to Pan Jezus często chodził na modlitwę i gdzie przed męką potem śmiertelnym się pocił. Przy grobie trwał nieustanny śpiew aniołów przez trzy dni, co apostołowie, odwiedzający pochowane tam zwłoki Matki Najświętszej, wyraźnie słyszeli.

Jeden z Apostołów, to jest Tomasz „niewierny“, tak zwany dlatego, że niechciał uwierzyć w Zmartwychwstanie Pana Jezusa, dopókąd nie włoży ręki swej w przekłóty bok Jego, nie mógł na czas przybyć na pogrzeb i zjawił się dopiero dnia trzeciego, a ponieważ życzył sobie koniecznie widzieć ciało Matki Bozkiej, aby mu oddać cześć, udał się tedy z innymi apostołami do Jej grobu. Lecz kiedy grób otworzono, nie znaleźli nic, jeno prześcieradła, któremi ciało było owinięte, i poczuli prześliczną wonność kwiatów, które tamże się znajdowały. Zaraz dorozumieli się apostołowie, że Bóg ciało Matki swej raczył wziąść do Nieba.

I słusznie tak myśleli, bo jeśli Eljasz prorok na wozie ognistym z ciałem i duszą wzięty jest do nieba, czemużby Bóg nie uczynił tego Matce swojej, która nad wszystko stworzenie, a nawet nad anioły jest wywyższona? Zresztą słusznie zau-

ważył jeden z ojców Kościoła: „Jeśliby ciało Maryi spoczywało w grobie, grób ten nie byłby tajny, owszem, Bóg byłby go wskazał ludziom przez rozmaite cuda i tysiące pielgrzymowałyby do niego i doznawałyby wielu łask. Wszakże cudem wskazał Bóg miejsce, gdzie leżało drzewo Krzyża św., na którem umarł Chrystus, wskazał Bóg cudownie grób św. Szczepana i innych Świętych, o grobie zaś Matki Bozkiej nikt i nigdzie nie słyszał, widać zatem, że ziemia niegodna była skarbu tak drogiego, że Bóg Maryę wraz z ciałem wziął do nieba.“

Takie mamy podanie o śmierci Matki Bożej, ztąd to święto ma różnorodne nazwy. My zowiemy je wniebowzięciem albo koronacyą Matki Bozkiej, dlatego że Marya wzięta do nieba, aby tam otrzymała od Boga koronę i nagrodę za cnoty swoje i stała się Królową nieba i ziemi. Ludzie powszechnie zowią to święto Matką Bozką Zielną. Nazwa ta pochodzi od ziela, które kościół dnia tego poświęca. Ziele święci się na tę pamiątkę, że przy otworzeniu grobu Maryi Panny rozchodziła się woń kwiatów, to też i malarze, malujący obrazy wniebowzięcia przedstawiają Maryę unoszącą się w obłokach, a na ziemi grób, otoczony zaglądającymi doń apostołami, napełniony kwiatami.

W bardzo wielu kościołach na całym świecie, a szczególniej w kraju naszym Wniebowzięcie Matki Bozkiej obchodzi się bardzo uroczyście z odpustami.

Do dziś pamiętam te pełne uroku dni dziecięce, kiedy to przez wieś, w której się wychowywałem, nieustannie bez przerwy od wczesnego ranka do późnego wieczora przechodziły gromady pielgrzymów z dalekich okolic, to śpiewając pieśni, to idąc w milczeniu ze skupieniem i religijnem nastrojem. Po krótkim odpoczynku w cieniu drzew i po ugaszeniu z powodu słonecznego żaru — pragnienia kryształową wodą ze studni, stawali i znów rozpoczynali pieśń nową ku czci Matki Bozkiej i biegli dalej z głęboką wiarą, z ochotą i nadzieją, że niedługo ujrzą nasz opromieniony chwałą Panienki Najświętszej Kościół parafialny, wzniesiony na wzgórzu i panujący nad okolicą i lasem, ubrany rzęsistem zadrzewieniem roślin przeróżnych, topoli i sosen, w ktorym to kościele w wielkim ołtarzu, znajduje się cudowny obraz Matki Bozkiej.

W całej swojej podróży pątnicy ci, ile razy ujrzeli coraz wyraźniej nakreślające się szczyty wieży świątyni, padali na twarz, oddając cześć Matce Najświętszej w świątyni tej, przez ludzi uwielbianej. Gdy zaś przybyli na miejsce, w największem skupieniu wkroczyli do kościoła, a w jęku i łzach serdecznej radości i pobożności padając na twarz, całowali posadzkę kościoła i tak długo trwali u stóp Matki niebieskiej, którą uczcić tu przybyli. Przyjmował pątników proboszcz miejscowy, witał ich, błogosławił, modlił się z nimi, nauczał ich i zagrzewał do cierpliwego wytrwania. — Choćby tu przybył największy grzesznik, zatwardziały i zaślepiony, gdy popatrzył na te objawy głębokiej pobożności ludu i na prace kapłanów, nauczających, spowiadających i modlących się się z ludem, wzruszyć się musiał na duszy i dobre powziąść postanowienie.

Dziś pielgrzymki takie utrudniają wrogowie naszej wiary i narodowości — lecz miejmy błogą nadzieję, że przyjdzie czas, w którym będzie nam wolno znów modlić się po swojemu — jak za dawniejszych czasów. — *Ks. Wojciech B.*

Modlitwa na dzień Wniebowzięcia
Najśw. Maryi Panny.

Z chwałą otwarły się niebios sklepienia,
Do nich wstępuje przeczysta Dziewica,
Wszystkich Jej Boski Majestat zachwyca,
A towarzyszą Jej Aniołów pienia.
Padnijże czołem wsza kraina lasza,
W Maryi nadzieja i obrona nasza!

Panno Czcigodna, Tyś gwiazdą przewodnią
W walkach z pogany, naszym ojcom była,
Tyś ich od nieszczęść zachować raczyła,
Karząc cudami nieprzyjaciół zbrodnią.
Stargaj, błagamy, wsze szatańskie pęta,
Zwalcz ich potęgę, Pani Wniebowzięta.

Matko nas ludzi, Ty Twojemi prośby
Za nami w górnym wstawiasz się Syonie
I Swojem czołem w słonecznej osłonie
Rozbrajasz snadnie Boski gniew i groźby.
Racz o! Maryo, złe duchy zagładzić,
A nas do świętej Ojczyzny wprowadzić.

Zawsze nas wspierasz, gdy Twego Imienia,
Oraz Twej świętej wzywamy pomocy,
Ty nas zasłaniasz prawicą wszechmocy,
Kojąc nasz smutek i nasze cierpienia.
Skrusz jarzmo piekła, o! Panienko Święta,
Dziś na anielskich rękach Wniebowzięta!

Matko litości! wskaż nam raju tory,
Które noc skrywa w głębokim pomroku,
Ukaż jutrzenkę jasną z za obłoku,
Przed którą znikną lodowe zapory.
Zbaw Twoje dzieci, Niebieska Królowa,
Złącz z Twemi modły naszej prośby słowa!

15. VIII. 1900.

Urszula z nad Warty.

Z legend o Matce Boskiej.
Wniebowzięcie.

(Do illustracyi albumowej.)

...Choć całe niebo z swym majestatem czekało na Matkę Bozką, jak na królowę, Ona z litości wielkiej nad światem, z ludźmi wolała przebywać w smutku i sama żałość tłumiąc swą wielką, była im Matką Pocieszycielką. Na ludzką nędzę dokoła siebie patrząc pełnemi od łez oczyma, chciała ból wszystek poznać na ziemi, aby cierpiących być Matką w niebie...

I zadumana odtąd boleśnie, ze smutkiem w oczach, z chmurą na czole, szła już przez życie, tak, jak Ją we śnie na cyprysowym malował stole Apostoł Łukasz ewangielista, — od ziemskiej zmazy wolna i czysta!...

Gdy się wypełnił czas Jej pielgrzymki, z nieba anioły zleciały w posły i dla strudzonej żywotem duszy parę najlżejszych skrzydeł przyniosły...

W Janowym domu bez bólu, jęku, na apostołów zasnęła ręku; w Janowym domu wierna drużyna żegnała wspólnie Bogarodzicę, gdy zatęskniła do Swego Syna i szła niebieską zasiąść stolicę.

Kiedy do grobu ciało złożono, z rozkoszy ziemskie zadrżało łono, lecz niebo ziemi skarb jej wydarło i wzięły duchy z grobu umarłą i Maryi Panny uśnięte ciało, jak jasne płomię w górę leciało, a ku lecącej Maryi Panience Syn Jej przebite wyciągnął ręce; — złożył Ją lekko na niebios progu i oddał Ojcu Swojemu — Bogu...

Z grobu Maryi woń z blaskiem bije, a zamiast ciała same lilie.

Od samych lilii grób się Jej bieli, przy grobie klęczą w modłach anieli, a ziemia śpiewa pieśń nieustanną:

— „Błogosławionaś Maryo Panno!...“

* * *

Z padołu ziemi Panna wniebowzięta po cichym, skromnym, ubogim żywocie, wśród wiekuistej światłości przebywa; tu na tym świecie wśród maluczkich żyła, ubóstwo znosząc prostaczków, — tam w majestacie wspaniałym królowa, której z czcią niebo całe u stóp leży.

Tu miejsca dla niej brakło w wiejskiej chacie, gdy Boże Dziecię miała na świat wydać, — tam dla niej całe niebieskie przestworza, całe gwiaździste bezbrzeżne rozłogi, całe rozłogi, całe dziedziny rajskie są otworem.

Tu w kmiecej szopie, złożonej na sianku, nie miała okryć czem Dzieciny Swojej, — tam w gwiazd koronie po Syna prawicy świeci przepychem wszech niebieskich skarbów, a niezliczone zastępy aniołów patrzą w Jej oczy, czekając skinienia.

Tu na multankach prości pastuszkowie grali Jej Dziecku wieśniacze kolendy, tam brzmią Serafów i Cherubów hymny, od których gwiazdy drżą współdźwiękiem w koło.

Tutaj musiała kryć się pogonią okrutnych króla Herolda siepaczy, — tam wszystkie moce piekielne truchleją przed jednym błyskiem miecza archaniołów.

Tutaj łzy smutku lała i żałości, — tam Jej uśmiechem niebo się promieni, a od Jej spojrzeń pogodnych i jasnych tęcze padają na niebios przestworza.

Tutaj samotna szła i opuszczona po Syna Swego zakrwawionych śladach, — tam ją anioły prowadzą skrzydlate, śpiewając pieśni na Jej cześć pochwalne:

„Błogosławionaś między niewiastami, boś była Matką Bożą tu na ziemi, a jesteś w Bożem królestwie królową!...“

Maryan Gawalewicz.

CZĘŚĆ TRZECIA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

Emigrant i wygnaniec.

Twierdzenie, że nagła wiadomość o uwolnieniu mogłaby narazić życie rotmistrza, ze stanowiska nauki nie mogło się wydać doktorowi przesadnem, owszem uznał on całą słuszność obawy, jaką pod tym względem objawiała Konstancya i sam ją zachęcał, żeby jak najostrożniej przystępowała do oswojenia starca z myślą powrotu.

— Już ja wszystko obmyśliłam doskonale — odrzekła żona Stanisława — pojmujesz pan, panie doktorze, miałam dość czasu myśleć o tem przez czas kilkotygodniowej podróży... Trzeba nam tylko uprzedzić naczelnika miasta, żeby wiadomość o bliskim wyjeździe mojego dziadka prędzej od niego niż odemnie nie przyszła.

Doktor chętnie się podjął towarzyszyć Konstancyi do horodniczego, gdzie już przy pomocy sojusznika, którego sobie tak zręcznie potrafiła pozyskać w lekarzu, rola jej wcale nie była trudną.

Horodniczy był także człowiekiem ludzkim i szczerze się wiadomością o spodziewanem niezwłocznem uwolnieniu rotmistrza ucieszył, a zamierzone przez wnuczkę środki ostrożności powagą swoją aprobował.

Konstancya miała jednak zamiar uzyskać tu coś więcej niż u doktora.

— Wszak dziadkowi mojemu — zapytała — ani krokiem za obręb miasta wydalać się nie wolno?...

— Niestety, pani, takie wyraźne polecenie.

— Otóż ja chciałam prosić pana naczelnika o drobne, bardzo drobne przekroczenie tego polecenia...

— Ah! pani, — przeląkł się horodniczy — to pod żadnym pozorem nie może być!...

— Dlaczego nie? — odparła niezrażona odmową Konstancya — wszakże panu honorodniczemu kazano mieć mojego dziadka ciągle na oku?...

— Tak właśnie kazano...

— No, a gdyby pan horodniczy potrzebował lub sam chciał przejechać się gdzie za miasto, w takim razie mój dziadek jużby nie był pod okiem pana...

— To się rozumie... ale ja też z tego powodu od czasu jak on tu bawi nigdzie nie wyjeżdżałem z miasta...

— A! tego już nie pojmuję! — roześmiała się Konstancya — pocóż zadawać taki przymus sobie i dziadkowi mojemu?...

— Więc jakże zrobić?

— Można było w najgorszym razie zabrać rotmistrza z sobą... z pod oka pańskiego nie uciekłby z pewnością osiemdziesięcioletni starzec...

— No to rzecz niezawodna... ale toby mogło być nieprzyjemne panu rotmistrzowi...

— Gdzież znowu! — uśmiechnęła się Konstancya, — to dla niego największą rozrywką, a jak pan doktor może poświadczyć, byłoby to nawet pożądanem dla jego zdrowia...

— Szkoda, że mnie to na myśl nie przyszło...

— Nie ma takiego złego, któregoby naprawić nie można. Zapraszam pana naczelnika i pana doktora na podobną wycieczkę jutro. Przejedziemy się razem w czworo...

Horodniczy się zadumał, jakieś podejrzenie rodziło się w jego myśli.

— Co pani tak zależy na tem — zapytał — żeby dziadek mógł się wydalać z miasta jeszcze przed nadejściem pozwolenia, skoro pozwolenie ma nadejść za kilka dni?

— A jakiś pan podejrzliwy! — zawołała wesoło żona Stanisława — naturalnie ułożyliśmy z panem doktorem, że pana zabijemy w drodze, a dziadka mego wykradniemy, na przyjście pozwolenia nie czekając. Bo mój dziadek przecież straszny polityczny przestępca, zapadło na niego dziesięć wyroków, z których najłagodniejszy na karę śmierci... Nieprawdaż?... A przytem jest to człowiek młody, zdrów, silny, gotówby jeszcze stanąć na czele powstańców!... Okropność!... I w końcu jest to człowiek złośliwy, straszny, niewdzięczny!... Za łagodne obejście, za uprzejmość pana horodniczego, chciałby panu biedy napędzić, chciałby pana narazić na utratę służby, na odpowiedzialność kryminalną, Sybir, ciężkie roboty i tam dalej!...

Mówiła szybko i z zapałem, ale swobodnie i śmiało. Podejrzenia czynownika rozpraszały się powoli.

— No, no — odpowiedział — tak źle znów nie jest. Ja wiem, że dziadka pani nie skazano żadnym wyrokiem, tylko w drodze administracyjnej wywieziono, wiem, że do powstania nie pójdzie, wiem, że biedy mnie nie życzy, i wiem, że to nie taka straszna ucieczka więźnia. Gdyby uciekł, byłoby śledztwo, wygawor, to rzecz naturalna, ale dałoby się temu i owemu łapówkę i skończyłoby się na trzystu rublach, reszta zatarłaby się jakoś... A w końcu pocóż miałby uciekać? Uwolniony wkrótce będzie, nasze gazety piszą, że powstanie już jest na uśmierzeniu, a jak będzie uśmierzone, to car jest dobry, da amenestyę, najpierw takim nieszkodliwym jak on... pani powiadasz, że już nawet dał amenestyę... tem lepiej... a choćby i tak nie było, to czyż mu tu wszyscy nieba przychylić nie radzi, czyż mu tu między nami tak źle?...

Gdyby był horodniczy śledził uważniej wrażenia, jakie na Konstancyi robiła jego przemowa, byłby dostrzegł niezawodnie przy wzmiance o trzystu rublach, że jej oko niezwykłym zapaliło się ogniem i że się uniosła na krześle, jakby się nagle lżejszą uczuła. Słowa te były dla niej rozgrzeszeniem z jedynego skrupułu, jaki jej się nasuwał przy wykonaniu zawierzonego wykradzenia rotmistrza. Uprowadzić go, było to narazić uczciwego człowieka, którego dozorowi był powierzony, na najprzykrzejsze w jej wyobrażeniu następstwa. Możemy prawie zaręczyć, że nie byłaby się cofnęła przed tym skrupułem, tłumaczyła ją w tym względzie miłość dla dziatka i dla męża, pod wpływem której to postanowienie powzięła, tłumaczyła ją także natura ludzka, skutkiem której żaden jeszcze więzień od czasu, jak istnieją więzienia, mając sposobność do ucieczki, nie zaniedbał jej dlatego, żeby swoich strażników nie narażać na odpowiedzialność. Bądź co bądź jednak bolało ją, że okoliczności ją zmuszały narażać na przykrość tego człowieka, który właśnie jej ukochanemu dziadkowi o ile było w jego mocy przykrości oszczędzał i smutne położenie osładzał, bolało ją tembardziej, że o następstwach, jakie ucieczka rotmistrza mogła sprowadzić na horodniczego, miała bardzo przesadzone wyobrażenie. Tymczasem ten sam horodniczy redukował te następstwa do rozmiarów bagatelnych, oznaczał cenę, i gdyby nie to, że to co mówił, mówił dobrodusznie i nawiasowo, że fizyognomia jego nie zdradzała czynowniczej chytrości, można byłoby go posądzić, że się przymawia o niewielką stosunkowo łapówkę.

— Trzysta rubli — pomyślała Konstancya, — i ja się kłopotałam o niego!... Ależ ten człowiek jak dostanie tysiąc będzie błogosławił chwilę ucieczki mojego dziadka!

Zbytecznem byłoby dodawać, że pozwolenie wyjeżdżania za miasto udzielonem zostało rotmistrzowi, i że na pierwszy raz horodniczy z doktorem zgodzili się chętnie w takiej wycieczce zesłańcowi i jego wnuczce towarzyszyć.

VII.

Co się dalej stało w miasteczku, do którego zesłany był rotmistrz, tego nie trudno się domyśleć.

Wycieczka za miasto odbyła się nazajutrz i nazajutrz także wyszukano tarantasu, którym miał odjechać rotmistrz, gdy pozwolenie wyjazdu nadejdzie. Konie zostały zamówione, tarantas spakowany stał gotowy do drogi i wszyscy wiedzieli o jego przeznaczeniu oprócz rotmistrza. Najpewniejszym tego, że ów tarantas widział, był horodniczy, mógł bowiem obserwować z okien swoich, że więzień jego jeszcze nie odjechał, że powóz jeszcze na niego czeka.

Ale pozwolenie nie przychodziło, ani nazajutrz, ani następnego dnia.

Tymczasem rotmistrz z wnuczką odbyli powtórną wycieczkę za miasto. Tym razem horodniczy i doktor nie mogli

im towarzyszyć, wzięli więc z sobą tylko gospodynię, u której mieszkał dziadek Konstancyi.

Wycieczka ta trwała trochę zadługo i nieco zaniepokoiła horodniczego. Ciemny już był wieczór, nie powracali. Naczelnik miasta posyłał dowiadywać się kilkakrotnie, dom był zamknięty. Usiadł więc w oknie i patrzył, czy nie powrócą. Wieczorem dojrzał tę samą kolaskę, którą wyjechali, i policzył mimo ciemności, że oprócz woźnicy siedział w niej sędziwy starzec i dwie kobiety.

Uspokoiło go to na chwilę, poszedł spać. Ale sen miał niespokojny. Marzyło mu się śledztwo, raz wraz musiał sięgać do kieszeni i opłacać się komisyi różnokolorowemi bumażkami.

Zapewne pod wpływem tego snu z samego zaraz rana pospieszył do mieszkania rotmistrza i znając rozkład- chciał wejść do zajmowanych przez niego pokoi.

Gospodyni zastąpiła mu drogę.

— *Iszwinitie!* nie można, śpią....

Horodniczy spojrzał na nią z pod oka.

— *Wriosz baba!* — rzekł.

— Nie kłamię — zaklęła się kobieta — jeżeli pan naczelnik chce, proszę wejść... chociaż może to będzie niedelikatnie... rotmistrz jest słaby, przeziębił się w drodze.... ot, proszę zobaczyć, gotuję dla niego ziółka.

Horodniczy zawahał się, pomyślał trochę i wyszedł.

Idąc był zły i coś mruczał pod nosem. Stróża, który zamiatał ulicę i nie dość śpiesznie usunął mu się z drogi, własną burmistrzowską ręką palnął w kark.

Doszedłszy do domu, w którym mieszkał doktor, wszedł doń szybko.

— Doktorze! — rzekł, nie witając się — na służbę do chorego!

— Kto chory?

— Rotmistrz.... tak przynajmniej powiada gospodyni.... przeziębił się na wczorajszej wycieczce. To szalona kobieta ta jego wnuczka, któż widział aż do nocy wozić staruszka!.... Trzeba iść go odwiedzić i zapisać lekarstwo, gotów umrzeć a owo uwolnienie jeszcze nie przyszło.

— Spieszę natychmiast.

Doktor ubrał się szybko.

— Wyszedłszy od chorego wstąp pan do mnie, ale staraj się z nim widzieć koniecznie — rzekł rozchodząc się z nim horodniczy.

Gdy doktor przyszedł, gospodyni nie zastępowała mu wcale drogi.

— Idź pan — rzekła — czekają na pana, pan rotmistrz bardzo chory.... ot widzisz pan, gotuję ziółka.

Doktór wszedł, zabawił chwilę i wyszedł zaraz niosąc w ręku opieczętowaną kopertę.

— Coż, panie doktorze, nie umrze z tego?

— Z tego z pewnością nie — odrzekł lekarz — gotuj pani ziółka, niczego więcej nie potrzeba. Za parę dni zdrów będzie.

Wyszedł tylnem wyjściem z domu, prawdopodobnie dlatego, że na frontowe wychodziły okna mieszkania horodniczego.

Boczną uliczką pospieszył do siebie i wszedłszy do swego pokoju zamknął się na klucz.

Potem wyjął z kieszeni ową kopertę, zważył ją w ręku, przyjrzał się adresowi i rzekł do siebie:

— Do mnie, adresowane do mnie.... zobaczymy co tam jest we środku.

W kopercie znajdowały się dwa listy. Jeden dość gruby pod adresem horodniczego drugi, otwarty z intytulacyą: „Panie doktorze!“

W liście tym były tylko te wyrazy:

„Ponieważ nie mogę odstępować od łoża mego chorego dziadka, śmiem zatem prosić pana, o przesłanie załączonego pisma panu horodniczemu z prośbą, żeby go nie otwierał, aż pozwolenie powrotu do kraju dla dziadka mojego nadejdzie.“

Podpis stanowiło imię „Konstancya.“

Oprócz tego było jeszcze w liście kilka papierków, podobnych jeden do drugiego jak krople wody. Doktor przyjrzał im się uważnie. Malowane były w różnowzore pasy jak tęcze i mieściły rozmaity emblemata i napisy. Jeden z tych napisów przestrzegał, że za podrabianie takich papierków można się dostać na Sybir.

— Po cóż je podrabiać, — uśmiechnął się małomiejski Eskulap — kiedy same włażą w ręce?....

Zamknął je do biurka, list Konstancyi skręcił w fidibus, zapalił nim fajkę, wypaliwszy wytrząsnął popiół.

— No, teraz czas — rzekł do siebie — trzeba to pismo odnieść horodniczemu.

Nie przyszła mu pokusa zaglądać co się w tem piśmie mieści, może się domyślał a może z natury nie był ciekawy.

Horodniczy oczekiwał go niecierpliwie i wybiegł przeciw niemu aż do drzwi.

— Cóż doktorze? widziałeś go? — zapytał niespokojnie.

Lekarz wyminął bezpośrednią odpowiedź na pytanie.

— Przeziębienie w takim wieku zawsze jest niebezpieczne... gdyby się wywiązało zapalenie płuc, w takim razie za nic nie ręczę.

— A wnuczka?

— Naturalnie rozpacza, że szaleństwem swojego dziadka nabawiła choroby.... Powiedziała mi, że go na krok nie odstąpi i prosiła, żebym panu naczelnikowi oddał to pismo.

Horodniczy chwycił za pismo i chciał rozłamać pieczątkę. Doktor go wstrzymał.

— Za pozwoleniem, pan naczelnik zrobi jak będzie chciał, ale ona prosiła, żeby tego nie otwierać, aż pozwolenie wyjazdu dla jej dziadka nadejdzie.

— A to co innego — rzekł horodniczy chowając pismo do kieszeni.

I wskazując ręką parą buchający samowar dodał:

— Może parę szklaneczek herbaty, doktorze.

— Oh! nie! — odrzekł lekarz, żegnając się, — muszę spieszyć do pacyentów, tylu chorych jest w mieście. Na inny raz.

Po wyjściu doktora opieczętowana koperta zaraz wyszła z kieszeni horodniczego i znalazła się w jego ręku.

— Jak przyjdzie pozwolenie — miałbym ja się z pyszna gdybym czekał. To pozwolenie przyjdzie w *Jurjew dzień!...*

Rozłamał pieczątkę. W kopercie nic nie było prócz takich samych papierków, jakie już widzieliśmy w ręku doktora, z ostrzeżeniem, że za ich podrabianie idzie się na Sybir.

Horodniczy nie czytał ostrzeżenia, policzył tylko papierki. Było ich dziesięć.

— No, więcej grzechem było żądać — rzekł do siebie — ale służba służbą, obowiązek przedewszystkiem, trzeba zdać raport.

Zapomniał o buchającym parą samowarze i siadł do pisania raportu.

Donosił w tym raporcie gubernatorowi, że zesłany na mieszkanie do miasteczka rotmistrz Gradowski, uciekł tegoż dnia w nocy i prosił, żeby za zbiegłym zarządzono najściślejsze poszukiwania.

Ukończywszy pismo złożył je w sposób przepisany i chciał włożyć do koperty, na której napisał adres gubernatora.

Przed włożeniem jednak coś mu się przypomniało nagle.

— Do gubernialnego miasta — rzekł do siebie — jest tylko sto dwadzieścia wiorst... poczta odchodzi za godzinę, zawsze to na czas przyjdzie, dzisiaj jeszcze i dzisiaj pogoń będzie zarządzona, tymczasem trzeba jeszcze jedną pilną ekspedycyę wyprawić.

Zabrał się znowu do pisania. Tym razem pisał do sądu okręgowego w jakimś powiecie gubernii irkuckiej, że cytowana tamże na świadka Praskowja Antonowna Ponomarewa w mieście zostającem pod jego zarządem nigdy nie przebywała i nie przebywa, nie mogła zatem zostać w sprawie, o którą sądowi chodzi, przesłuchaną.

— To bardzo pilne — mówił pisząc — na to już pół roku czekają.

Po napisaniu przygotował i opatrzył adresem drugą kopertę.

— Teraz uważajmy, żeby się nie pomylić. Toby była *prekrasna sztuka*, gdybym się pomylił, i gdyby gubernator odebrał doniesienie o Praskowji Antonowni, a sąd okręgowy w Irkuckiej gubernii o ucieczce rotmistrza...

Tak rozmawiał sam z sobą, pieczętował bardzo uważnie i był przekonany, że się nie pomylił, chociaż po odbiorze tych ekspedycyi sąd okręgowy i gubernator z pewnością nie przyznali mu nieomylności, gdyż w cztery dni otrzymał z kancelaryi gubernatora surowe napomnienie, że pisma przeznaczone dla informowania odległych sądów przesyła zamiast raportów swojej władzy zwierzchniczej, a we dwa miesiące jeszcze później, kiedy już wszystkie następstwa ucieczki rotmistrza były zatarte, horodniczy śmiał się do rozpuku czytając odezwę, w której sąd okręgowy wyraził mu swoje ubolewanie z powodu tej ucieczki, ale zarazem objawiał wątpliwość, ażeby

zbieg chciał szukać schronienia tak w Irkuckiej, jak wogóle w syberyjskich guberniach.

Piątego zatem dnia dopiero wysłanym został rzeczywisty raport o ucieczce rotmistrza, a w kilka tygodni później horodniczy ujrzał się w konieczności użycia z przysłanych przez Konstancyę papierków na uwolnienie się od ciężkiej odpowiedzialności.

Zbytecznem byłoby dodawać, że wystarczyły.

Tym sposobem starzec i jego wnuczka zyskali aż pięć dni czasu. Przez pięć dni wolni byli od wszelkiej pogoni, mieli wszelką swobodę ruchów. Horodniczy postąpił z nimi jak sumienny *wziatocznik*. Zapłacony za to tylko, że nie widział ucieczki, uważał, że pieniądze dostał za darmo, a że darmo ich brać nie lubił, więc chciał je sobie zarobić i dlatego ucieczkę zasłaniał.

Ogromne są przestwory caratu, ale przestrzeń, którą przy pieniądzach w ciągu pięciu dni przebyć w nich można, jest także dosyć znakomita. Nie mogła wprawdzie Konstancya narażać dziadka swojego ne tę jazdę szaloną, jakiej używali wysłani z depeszami kuryery carscy, chociaż każdy mógł jej sobie pozwolić kto na stacyi pocztowej dobry trynkgeld przyrzekł woźnicy. Jazda taka, po której młody nawet i silny człowiek, jeżeli do niej nie jest przywykły, długi czas wyczekiwać musi, aż mu się w dawny stan ułożą roztrzęsione członki, których wiązadła rozluźniły się i osłabły, jazda taka byłaby wytrzęsła duszę z rotmistrza, który niedawno powstał z ciężkiej i niebezpiecznej choroby, bądź co bądź jednak, gdy się gubernator dowiedział, że starzec, któremu w jego gubernii wyznaczono przymusowe schronienie, opuścił przeznaczone dla siebie miejsce, już rotmistrz i jego wnuczka nie znajdowali się ani w tej samej, ani w żadnej z sąsiednich gubernii.

O planie ucieczki ułożonym przez Konstancyę, dziadek jej nic nie wiedział aż do końca. Pozwolenie przejechania się brał za uprzejmość, którą horodniczy okazał mu na prośbę Konstancyi. Gdy przejażdżka trwała zadługo, sam nalegał, żeby wracali.

— Horodniczy niepokoić się będzie — mówił do wnuczki — i będzie żałował, że mi pozwolił się przejechać... dobry człowiek, nie trzeba mu robić zmartwienia.

— Dobrze, dziaduniu... wrócimy zaraz, ale jeszcze trochę pojedźmy dalej. Anna Iwanówna nam towarzyszy, obawa horodniczego byłaby śmieszną.

Anna Iwanówna była to gospodyni rotmistrza.

— Ja takbym chciała jechać dalej, dalej, najdalej ztąd — zaczęła znów Konstancya — ale trudno! Ot, wiesz co dziaduniu, powiedz mi cobyś ty zrobił na mojem miejscu?

— Jakto na twojem?

— Gdyby mnie tutaj wywieziono i trzymano, i gdybyś mógł przyjechać do mnie, i wozić mnie po okolicach...

— Ani chwili bym się nie namyślał — odparł żywo starzec — wykradł bym dziecko moje...

Konstancya klasnęła w ręce.

— A widzisz dziaduniu — zawołała — ja przecież jestem twoja krew... ja tak samo zrobić powinnam...

— Gdzież się tobie na to porywać? tyś słabe dziewczę.

— Otóż to właśnie nieprawda, mój dziaduniu! Nie jestem słabą dziewczyną, ale silną kobietą, której ty wyrabiałeś charakter, potrafię i ja zrobić toż samo. Wykradnę cię, już cię nawet wykradłam.

Rotmistrz nie wiedział co ma myśleć o tych słowach Konstancyi. Nie śmiał im wierzyć, a nie chciał ich brać za płochy żart ze strony wnuczki, który ze względu na jego położenie byłby co najmniej bardzo niestosownym.

Zwrócił się do gospodyni.

I cóż wy na to, Anna Iwanówna?... — rzekł — ot, dziewczyna plecie niewiedzieć co, żeby się w głowie przewróciło staremu.

Gospodyni uśmiechnęła się tylko, a Konstancya objęła rotmistrza szyję i patrząc mu w oczy rzekła:

— Nie dziaduniu, ja cię nie zwodzę, my jedziemy daleko, bardzo daleko, aż do Polski.

— Do Polski! — powtórzył starzec.

W oczach jego promieniało szczęście. Patrzył na twarz wnuczki swojej i milczał. Potem dwie łzy z oczu jego spłynęły.

— Do Polski — powtórzył jeszcze raz — do Polski! myślałem, że jej nie zobaczę już więcej...

Chwilowe wzruszenie przeminęło. Rotmistrz przycisnął wnuczkę do swego łona.

— Zuch jesteś, dziecko! — rzekł — masz w sobie krew Gradowskich.

Chciał dodać, ale pomyślał tylko:

— Choć matka twoja była za Kettelerem.

— Widzisz dziaduniu — mówiła dalej Konstancya — że i ja robię dla ciebie, to, cobyś ty robił dla mnie... tylko że ja nie mam takiej zasługi — dodała spuszczając oczy.

— Niesłusznie jej sobie odmawiasz dziecko moje...

— Oj! słusznie, słusznie, dziaduniu... Ty, widzisz, byłbyś mnie wykradł, z niewoli dla mnie samej... a ja... gdybym tylko ciebie miała na świecie, nie pomyślałabym nigdy o wywożeniu ciebie ztąd... zostałabym z tobą przez całe życie... Myśl ta mi przyszła dlatego tylko, że mi się spieszy do kogoś innego...

Mowiąc to, utuliła głowę na piersiach dziadka.

Przybyli do najbliższego miasta, pożegnali się z Anną Iwanówną, która powtórzyła zapewnienie, że po powrocie do domu zrobi wszystko jak było ułożone między nią i Konstancyą, następnie wziąwszy inne konie w dalszą puścili się drogę.

Długo trwała ta podróż, bo nie można było jechać prosto do celu. Dla zmylenia pogoni trzeba się było udać dosyć daleko w kierunku przeciwnym zamierzonemu, a potem dopiero, dostawszy się na więcej uczęszczane drogi handlowe, zwrócić. Nie napotkali jednak w drodze przeszkód zbyt wielkich, a zwłaszcza nie napotkali tej, której najbardziej obawiała się Konstancya. Rotmistrz z łatwością znosił trudy podróży i nietylko, że nigdzie nie zesłabł w drodze, lecz jakby omłodniał o dziesięć lat. Wskutek wybiegu horodniczego nikt o ściganiu ich nie myślał, a gdy wiadomość o ucieczce wywołała urzędowe dochodzenia, znajdowali się już tak daleko i byli tak dobrze zaopatrzeni w legitymacye usuwające wszelkie podejrzenia, że mogli być spokojni przed wszelką obawą pogoni.

VIII.

Kilkanaście lat dopiero upłynęło od epoki, którą opisujemy, więc nic dziwnego, że od tego czasu wyszły z użycia i zostały prawie zapomniane niektóre ograniczenia swobody ruchów człowieka, które za murami więzień danego państwa, wszystkich zostających niby na wolnej stopie mieszkańców czyniły do tego stopnia więźniami. Kordony celnicze pozostały wprawdzie jeszcze jak były, i państwa najbardziej sprzyjające zasadzie wolnego handlu pozbyć się ich nie umiały do dzisiaj, ale to jest rzecz drugorzędna. Wietrzący kontrabandę strażnicy granic nie przeszkadzali i przeszkadzać nie mogli przewozowi tej kontrabandy, którą podróżny wiózł w swej głowie, — powiedział im to wyraźnie i szyderczo Henryk Heine. Ale jeśli kordony celnicze pozostały, znikły za to i znikły bezpowrotnie owe formalności pasportowe, któremi rządy starały się tamować międzynarodową wymianę pojęć, doświadczeń i wyobrażeń. Jedna Moskwa na cały świat cywilizowny upiera się jeszcze przy nich; tak u niej jednej istnieje w całej pełni średnowieczna instytucya prewencyjnej cenzury i inne nieodłączne atrybuty bezwzględnego absolutyzmu, którego ona także, jeżeli pominiemy niechrześciańską Turcyę, jest już jedyną w Europie reprezentantką.

Nie było tak przecież jeszcze za czasów kiedy Konstancya z dziadkiem swoim przebywała granice caratu, aby się dostać do tego państwa, w którem zatrzymano pozbawionego wolności jej męża. Trzeba było wówczas przebywać podwójny kordon graniczny, legitymować się najprzód przed moskiewskiemi a zaraz potem przed austryackiemi władzami.

Najmniejsza to zresztą była już trudność do przebycia, i jeżeli powstanie niewiele sobie robiło z rozmaitych policyjnych zarządzeń, które miały na celu położyć mu tamę, to najbezwzględniej podobno żartowało z tych orłami i pieczęciami zaopatrzonych świstków, za których pokazaniem, niby za różczki czarodziejskiej dotknięciem, roztwierać się miał mur chiński, rozgraniczający dwa mocarstwa. Ludzie skazani na śmierć wyrokami sądów wojennych, albo najpilniej poszukiwani przez policyę i zapisani na każdej liście podejrzanych, przebywali granicę za paszportami albo wprost legalnemi, albo tak podobnemi do legalnych, że ich najczujniejsze oko policyjne nie było w stanie od prawdziwych odróżnić. Doszło do tego, że rząd moskiewski postanowił chwycić się środka radykalnego. — Od nowego roku 1864 zmieniono formę blankietów, na których wydawały się paszporta, w przypuszczeniu, że przynajmniej przez czas jakiś niepodobna będzie

konspiratorom zaopatrywać się po za oczyma rządu w tego rodzaju dokumenta. Jak dalece to przypuszczenie było złudnem, mieliśmy sposobność przekonać się o tem osobiście. Zaraz nazajutrz po owej zmianie, d. 14 stycznia 1864 r. piszący te słowa przybył z Warszawy aż na samą ukraińską granicę, za paszportem wystawionym dla osoby, której imię i nazwisko było tylko utworem jego wyobraźni, pozwalającym mu udać się do jednego z powiatów zagranicznych, do wioski, której nazwa była również improwizacyą i nigdy nie istniała na żadnej mapie. I nie dość na tem, jednocześnie z tym paszportem wydane zostały piszącemu, którego podówczas dosyć pilnie po Warszawie szukano, dwa inne takie dokumenta, w podobnych zupełnie warunkach, na blankietach najlegalniejszych, nowej tylko co zaprowadzonej formy, zaopatrzone podobnież jak tamten, najautentyczniejszym własnoręcznym podpisem *jewo prewoschoditielstwa* jenerała ober-policmajstra Trepowa, które były potrzebne dla innych osób, również pilnie poszukiwanych. Cała ta sztuka kosztowała razem rubli srebrem trzydzieści, włącznie ze stemplami i opłatami pobieranemi na rzecz skarbu, który z tej kwoty opłacany jest najsumienniej, to też zaręczyć można, że *jewo prewoschoditelstwo* jenerał ober-policmajster za naiwność, z jaką trzy swoje własnoręczne podpisy dla wygody i bezpieczeństwa trzech buntowczyków położyć raczył, nie otrzymał ani kopiejki.

Przytoczyliśmy ten fakt drobny, ale charakterystyczny na dowód, jak śmiesznemi i bezcelowemi są udręczenia, zadawane dotąd jeszcze podróżnym na granicach moskiewskiego caratu, udręczenia dla tych, którzy w danym razie nie mają żadnych nieprzyjaznych względem cara i jego władzy zamiarów, bo inni zawsze poradzić sobie potrafią, i jak niedorzecznem jest upieranie się przy takich podpisach, których bezskuteczność już w całym świecie cywilizowanym oddawna uznaną została.

Po tych słowach nie potrzebujemy dodawać, że przekroczenie granicy nie przedstawiło dla Konstancyi i rotmistrza żadnych trudności.

Stanąwszy w granicach monarchii, następnie na Cis i Translitawię rozpołowionej. Konstancya z łatwością dowiedziała się o losach swego męża. Można tu już było używać cywilizowanych środków i w przeciągu dwudziestu czterech godzin telegraf wskazał jej, gdzie się ma udać, ażeby się zobaczyć ze Stanisławem.

Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości udała się z dziadkiem do Ołomuńca, gdzie był internowanym nasz bohater.

Z odniesionej rany nie prędko przyszedł on do zdrowia. Główną podobno przyczyną, która powstrzymywała jego rekonwalescencyę, był brak wiadomości od żony. Dręczył go niepokój straszliwy, a wszelkie środki, jakie przedsiębrał ażeby się z nią skomunikować, okazywały się daremnemi. Markiz de Ketteler nie chciał się kompromitować odpowiadaniem na listy buntownika, ciocia Giefia doniosła tylko, że Kostunia znikła z Gradowiec, gdzie jednak się podziała, nie wiadomo, ojciec Fulgencyusz nie mógł żadnych a żadnych dać objaśnień. Łatwo się domyśleć, że i Konstancya jeszcze przed wyjazdem i później z drogi starała się dawać o sobie wiadomość mężowi, listy jej jednak, wysyłane do różnych osób w nadziei, że będą mogły posiadać o miejscu pobytu Stanisława jakąś wiadomość, nie zdołały dotrzeć do celu. Tym sposobem przez półtora miesiąca Stanisław nic nie wiedział co się działo z kobietą, która była całem szczęściem jego i życiem, więc się szarpał i zrywał, ażeby módz jak najspieszniej zająć się z całą energią jej odszukaniem, a wzruszenia, jakich w skutek poczucia swej niemocy doznawał, jeszcze bardziej powiększały tę niemoc.

Konstancya znalazła go w szpitalu wojskowym.

Że ukazanie się jej i wiadomość o dokonanem przez nią wyswobodzeniu rotmistrza były dla chorego zbawczym balsamem, tego nawet nie mówimy. Medycyna zgadza się na to, że szczęście jest najlepszem lekarstwem, tylko farmacya niedołężna nie umie tego wyrabiać w aptekach.

Uzyskano bez trudu u władz austryackich pozwolenie zabrania chorego ze szpitalu wojskowego do prywatnego mieszkania, i wkrótce potem powstańcza rodzina zajmowała razem niewielkie, z kilku schludnych pokoików złożone mieszkanie przy jednej z bocznych ulic Ołomuńca.

Stanisław szybko powracał do sił, nadzieją jednak, że wróci na plac boju, łudzić się nie było można. Nie brakłoby mu z pewnością ochoty, a zaprawiony w żołnierskiem rzemiośle przebytą szkołą, tem silniej czuł obowiązek służenia Ojczyźnie z orężem w ręku; Konstancya także pewnie nie kładłaby mu tamy w spełnieniu tego zamiaru i z szpartańską stałością zniosłaby nową rozłąkę, a rotmistrz nie byłby mu również odmówił ojcowskiego błogosławieństwa na nową przeciw wrogom wyprawę — ale iść już na pole bitwy nie było po co. Widnokrąg powstania malał z dniem każdym, trzeba było zaślepionego optymizmu, żeby nie wierzyć, że ruch ma się ku końcowi. Spełzła na niczem nadzieja pomocy z zewnątrz, na którą liczyli jedni; płonnemi się okazały głębokie rachuby drugich, że ogólny bieg wypadków przyjmie kierunek sprzyjający rozpacznym wysileniom pragnącego odzyskać byt swój niepodległy narodu; kłamstwem i blagą okazała się interwencya dyplomatyczna mocarstw, która się innym, najłatwowierniejszym, zdawała zrazu w tak wielkie następstwa płodną, wiadomości zaś z placu boju coraz częściej przynosiły wieści smutne i bolesne, a przecież zaprzeczyć się nie dające, że najlepsze oddziały partyzanckie po krwawych starciach szły w rozsypkę, że najdzielniejsi dowódzcy kładli swe głowy na polach potyczek, że na coraz większych obszarach kraju powstanie było już faktycznie stłumionem, że coraz większa liczba tajnych przywódzców ruchu albo zmuszoną została uciekać za granicę, albo znajduje się w rękach carskich oprawców i nieuniknionej oczekuje szubienicy.

VIII.

Otwierała się zatem przed Stanisławem, Konstancyą i przed osiemdziesięcioletnim rotmistrzem droga tego pielgrzymstwa, na które od tak już dawna każde pokolenie na polskiej ziemi wyrosłe pątników swoich wysyła: — droga tułactwa.

Nieprędko pogodzili się z tą myślą, nieprędko w nią uwierzyli, ze wszystkich złudzeń na tym świecie, nadzieja zwycięstwa słusznej sprawy jest złudzeniem, które najtrudnej zwłaszcza opuszcza ludzi wychowanych w wierze w Opatrzność i porządek boży na ziemi. Może nowe pokolenia w pozytywniejszych przekonaniach wyrosłe, prędzej i łatwiej będą z losem się godziły... nas kołysała jeszcze poezya, więc poetycznie na świat patrzaliśmy i ci z nas nawet, którzy otwarcie wypierali się wiary w cud, w głębi duszy mimowolnie oczekiwali cudu....

Nieprędko także Austrya zdecydowała sie wypuścić internowanych ze swej opieki. Trzeba było wprzód oddzielić ich od placu walki całą prowincyą polską ogłoszoną w stanie wojennym, prowincyą, która niestety znalazła u siebie kilku takich, którzy w jej imieniu choć bez jej formalnego upoważnienia o ten stan wojenny prosili.

Biegły wolno dni jesieni i długie zimowe wieczory, przyszła wiosna razem z paragrafami uproszonego „Standrechtu,“ nie było obawy, że uwolnieni będą cichaczem powracali do Galicyi, ażeby się dostać za kordon, można było ulżyć budżetowi i ulżono.

Wyludniły się fortece austryackie z Polaków, natomiast zaludniło się nimi Drezno.

Na wiosnę 1864 roku przechodzący ulicami starej stolicy królów, którzy przez czas pewien, w najsmutniejszej prawda epoce i naszej panowali ojczyźnie, byli świadkami jakby wskrzeszenia przedtysiącoletniej słowiańskiej przeszłości tego nadłabiańskiego kawała ziemi, której jedyną dziś pamiątką pozostały fatalnie przeinaczone, ale zawsze po słowiańsku dźwięczące nazwy okolic: Blasewitz, Loschwitz, Kötschenbroda i. t. p. Na każdym kroku brzmiała mowa polska, na stutysięczną niespełna ówczesną ludność stolicy saskiej liczono do pięciu tysięcy Polaków, skazanych na przymusową bezczynność, daleko z natury ruchliwszych od miejscowych mieszkańców i mających wszystek czas do rozporządzenia, a więc dziesięć razy widoczniejszych na ulicach miasta niż miejscowi pracą na chleb powszedni po domach zajęci.

W wiadomych wszystkim lokalach, w różnych punktach miasta, pełniły funkcye rozmaite komitety, stanowiące dalszy ciąg władzy narodowej tajemnej, której ognisko pozostało jeszcze w kraju, choć było tylko cieniem siebie samego. Tutaj zbierali się jenerałowie i pułkownicy powstania, pozbawieni pułków i oddziałów i układali plany wojenne, które się nigdy nie miały urzeczywistnić, tam schodzili się dyplomaci i głębocy politycy i debatowali nad projektami wytargowania czegoś od Europy. W tem ognisku chwilowem emigracyjnego życia, centralizowała się na razie cała działalność z kraju wyparta, tam jeszcze organizowały się oddziały, tworzyły i większa część bawiących tam a zdolnych do noszenia broni, pobierała żołd wojskowy, zostawała pod wojskową komendą i była gotową na pierwsze hasło ruszyć na plac boju do walki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

(Ciąg dalszy.)

Głośne szemranie dało się słyszeć w pokoju. Byrdowi nawet zdawało się, że ktoś krzyknął przerażony, zauważył też, że ów później przybyły nieznajomy mężczyzna przeszedł teraz na drugą stronę drzwi, tam, gdzie stał ów wysoki jasnowłosy młodzieniec, który już od dawna tutaj się znajdował, a którego twarzy nie mógł dotąd dojrzeć. Spokój i pewność siebie, z jaką nieznajomy zmienił miejsce, podpadła Byrdowi i nagle domyślił się prawdy! Owym nieznajomym nie był nikt inny, jak nowy detektiw z Nowego Yorku! Ale kogo on tak bacznie obserwował?

— Kto to jest ten młody Hildret? — pytał coroner dalej.

— Jeden pan z Toledo — odrzekłą Emila Firmin — który dopiero po śmierci mej kuzynki odziedziczy cały swój majątek.

— Jak to być może? Przecież nie jest krewnym?

— Nie, a nawet wcale jej pewnie nie znał. Jest to dziwna historja. Otóż dziadek jego był oryginałem w całem znaczeniu tego słowa, chociaż lekarze stwierdzili, że obłąkanym nie był. Chcąc zabezpieczyć majątek wnukom, bo syn wielkim był hulaką, rozporządził w testamencie tak, że wszystko, co posiada, otrzymają wnuki jego dopiero po śmierci dwojga osób. Jedną z nich był pięcioletni wówczas syn jego sekretarza, drugą moja siedmioletnia wówczas kuzynka, bawiąca z matką właśnie u owego sekretarza. Chłopiec umarł w młodym wieku...

— Co się działo później z rodziną Hildretów? — przerwał coroner.

— Syn, z powodu którego dziwny ten testament został ułożonym, umarł podobno przed kilku laty, zostawiając dwoje czy troje dzieci, córki i syna, który zupełnie wstąpił w ślady ojca. Ja nie znam ich wcale, ale nigdy też czegoś dobrego o nich nie słyszałam.

— Jak imię młodemu Hildretowi?

— Walery, tak jak i ojcu i dziadkowi było imię!

— Nie wiesz pani, czy kuzynka twoja niepokoiła się owym dziwnym testamentem? Nie wspominała, że bezpieczeństwo jej zagrożonem jest, ponieważ spadkobiercy czekać muszą na jej śmierć, aby odebrać upragniony majątek?

— Przypominam sobie, że raz tylko mówiła, że nie ma spokoju, bo wie, że dzień jej śmierci będzie dniem radości dla innych. „Zdaje mi się. dodała, że oszukuję ich! Nie jest to moją winą, a jednak będę może musiała pokutować za to.“

— Nie wiesz pani bliższych szczegółów o młodym Hildrecie? Czy pani Klimmer korespondowała z nim, czy dowiedziała się czegoś złego o nim, tak, że mogła mieć powody obawy?

— Uważałam tylko, że niechętnie wspominała o jego ojcu; syn ma również być bardzo lekkomyślnym, jak mi to znajomi z Toledo opowiadali, ale czy moja kuzynka także o tem słyszała, nie wiem.

Coroner wziął teraz ćwiartkę papieru leżącą na stole i rzekł:

— Zapewne korespondowałaś pani często ze zmarłą. Na biurku jej znaleziono zaczęty list, myślisz pani, że on do ciebie jest pisanym?

Panna Firmin spojrzała na arkusz.

— Naturalnie — odpowiedziała — napis „kochana Emilio“ jest najlepszym tego dowodem.

— Moi panowie — zwrócił się coroner do sędziów przysięgłych — proszę posłuchać treści listu, napisanego przez nieszczęśliwą kobietę, kilka godzin przed zamordowaniem jej. Panna Firmin będzie łaskawa list ten głośno przeczytać i oddać go nam.

Wezwana wykonała natychmiast życzenie coronera i zaczęła czytać drżącym ze wzruszenia głosem:

„Kochana Emilio!

Nie wiem właściwie, czemu dziś do ciebie piszę. Mam dużo zajęcia i przed obiadem nie piszę nigdy, ale boję się czegoś i czuję się bardzo opuszczoną i samotną. Nic mi się nie powodzi i dziwny jakiś strach nie opuszcza mnie na chwilę. Może jestem chorą. Daremnie powtarzam sobie, że ludzie, szanowani ogólnie nie są zdolni do popełnienia zbrodni. A jednak jestem pewną, że wiele osób życzy sobie mej śmierci, dlatego żyję w takiej trwodze i mam ciągle przeczucie, że...“

— Wielki Boże! — krzyknęła panna Firmin przerażona. Co to znaczy?

— Jeszcze jedno tylko pytanie — rzekł coroner. Co byłabyś pani myślała, gdybyś była list ten otrzymała?

Nic innego, jak że samotne życie wywołało u mej kuzynki melancholią.

— Ale ten ciągły strach, o którym pisze — kto był powodem tego?

— Ach — ja — nie wiem.

— A jednak masz pani kogoś na myśli?

— Chyba — No, przecież jeden tylko człowiek istnieje, do którego słowa te odnosić się mogą...

— A tym jest?

— Walery Hildret!

ROZDZIAŁ ÓSMY.

Nieznajomy.

W pauzie, jaka teraz nastąpiła, patrzał Byrd znowu uważnie na drzwi, koło których zawsze jeszcze stał ów nieznajomy. W tej chwili wyciągał on rękę po kapelusz, leżący na stole w sieni, a ręka ta była piękną i białą. Na małym palcu błyszczał gruby i szeroki pierścień z pieczątką. Ręka posunęła się dalej, wyjęła z kapelusza chustkę do nosa i zniknęła na kilka sekund, a gdy się po raz drugi ukazała, już na palcu pierścionka nie było. Nieznajomy musiał go więc ściągnąć, ale dlaczego?

Byrd pragnął wiedzieć, czy drugi detektiw zauważył także owe postępowanie nieznajomego — kolega jego stał jednak spokojnie, oparty o ścianę, i spoglądał obojętnie na obecnych.

Teraz zaczął coroner znowu mówić.

— Dowiedzieliśmy się właśnie z ust najlepszej przyjaciółki pani Klimmer, — rzekł, — co było przyczyną tajemnego strachu i niepokoju zamordowanej. Nie możemy wprawdzie przywiązywać zbyt wielkiej wagi do takiego uczucia kobiety, żyjącej w ciągłej samotności, ale przedłożę tu jeszcze jedno pismo zmarłej, które może wyraźniej określi.....

Dalsze słowa jego przerwało wejście posłańca z telegramem. I podczas kiedy coroner czytał go, przyszła Byrdowi nagle dziwna myśl do głowy: wydarł szybko kartkę z notesu i napisał kilka słów do coronera radząc mu, aby się dowiedział, kto jest ów gość, który w dniu zbrodni przybył do hotelu. Potem złożył kartkę, wręczył ją stojącemu obok chłopcu i kazał natychmiast zanieść doktorowi, który odebrawszy ją, skinął głową na znak zgody. Kilka minut później szedł już sługa policyjny do hotelu, a badanie świadków rozpoczęło się na nowo.

— Dokument ten, — mówił Fredwell dalej, — znaleźliśmy, szukając adresu panny Firmin w jednej z szufladek biurka. Leżał pod całym stosem rozmaitych rachunków. Pismo jest zupełnie takie same, jak w liście, podpis zaś brzmi „Dorota Klimmer“. Sędzia przysięgły, pan Blak zechce nam przeczytać głośno.....

Pan Blak wziął podaną sobie kartkę i przeczytał następujące słowa:

„W razie mej nagłej lub gwałtownej śmierci wzywam policyą, aby zbadała, czy sprawcą tejże nie jest pan Walery Hildret, mieszkający w Toledo. Dopóki żyję, nie może on odebrać swego majątku, a ponieważ jest człowiekiem bez charakteru i sumienia, przeto będzie się starał usunąć mnie w jakikolwiekbądź sposób. Jeżeli umrę więc śmiercią gwałtowną, to tylko z jego ręki. Jestem o tem mocno przekonaną.

„Dorota Klimmer.“

— Ciężkie to oskarżenie — zauważył coroner — nie możemy je pominąć milczeniem. Telegrafowałem już do inspektora policyi do Toledo i otrzymałem odpowiedź, że pana

Hidreta obecnie w domu niema. Wyjechał i znajduje się podobno w naszej okolicy.

A biorąc depeszę, przeczytał:

„Tego, o którego pan pytasz, nie ma w Toledo. Wyjechał w środę, dnia 27-go, wieczornym pociągiem na Wschód. Ostatnie wiadomości z Albany. Jest bardzo lekkomyślny i nie ma ani grosza.

— Telegram ten otrzymałem wczoraj, dzisiaj zaś następujący:

„Nowsze wiadomości. Poszukiwany wspominał niedawno w klubie o samobójstwie, zdaje się być w rozpaczliwem położeniu i mówił, że jeżeli stosunki się nie zmienią, to nie ma dla niego ratunku. Gra w karty, zakłady i spekulacye zrujnowały go do szczętu. O zapłaceniu długów niema mowy."

— Na dole znajduje się jeszcze dopisek:

„Poszukiwany jest podobno w Sibley".

Byrd spojrzał ku drzwiom, ale nieznajomy stał bez ruchu, jak skamieniały. Ten zaś, którego uważał za dedektiwa, zmienił się nagle; oczy jego błyszczały, a twarz wyrażała odwagę i energię. Wyglądał jak tygrys, czyhający na swoją ofiarę.

— Posłałem teraz — odezwał się znowu coroner — po ostatniego świadka, to jest po właściciela hotelu „pod Złotą koroną". Ah, otóż i on! No i cóż, panie Symond, przyniosłeś z sobą listę gości z ostatniego tygodnia?

— Tak — odrzekł hotelista widocznie zmieszany.

— Otóż tu stoi: Klemens Smith z Toledo — zawołał coroner. — Kto to jest?

— Smith? — powtórzył Symond przestraszony. — Ach tak, ten pan przyjechał wczoraj i jest jeszcze w hotelu.

Byrd spojrzał w tej chwili na nieznajomego we drzwiach i zauważył, że dedektiw wyciągnął z ogromnym zamachem chustkę z kieszeni, tak, że nawet upuścił ją na ziemię. Chcąc ją podnieść, potoczył się i przewrócił kapelusz, leżący na stole. Z kapelusza wypadła chustka — dedektiw przeprosił nieznajomego, odsunął kapelusz o wiele dalej, tak, że właściciel jego musiał, biorąc go, wyjść zupełnie z swego ukrycia, i włożył znowu chustkę do kapelusza. Byrd zrozumiał natychmiast to postępowanie kolegi, i cieszył się z jego zręczności.

— Jest teraz jeszcze w hotelu i wczoraj przyjechał? — powtórzył coroner. — Czemu pytanie tak pana przestraszyło?

— Bo ten pan już raz tu był! — szepnął hotelista.

— Kiedy?

— We wtorek!

— Ah, w dniu, w którym popełniono zbrodnię! Dlaczego nazwisko jego nie jest tu zapisane?

— Bo nie bawił długo. Przybył po to tylko, aby się dowiedzieć...

— O czem?

— O adresie pani Klimmer!

Odpowiedź ta wyjaśniła nareszcie wszystkie ciemności! Znaleziono świadka, którego szukano dotąd, oczy coronera błysnęły radośnie, a w tłumie dały się słyszeć głośne okrzyki zadowolenia. Sprawa zaczynała teraz być zrozumiałą.

— O której godzinie był ten pan w hotelu? — pytał coroner dalej.

— O pół do dwunastej przed obiadem!

— A kiedy zobaczyłeś go pan znowu?

— Wczoraj na wieczór. Przybył pociągiem o piątej, ale ponieważ wyjechałem wczoraj na cały dzień, przeto zobaczyłem go dopiero późno wieczorem w sali na dole. Przyniosłem mu zaraz książkę do zapisania nazwiska i zaprowadziłem go potem do jego pokoju. Dlaczego i po co tu przyjechał, nie wiem, bo był niezmiernie małomówny.

— Czemu zataiłeś pan fakt, że nieznajomy jakiś człowiek pytał się o adres wdowy, krótko przed zamordowaniem jej?

Hotelista spuścił oczy.

— Nie chciałem się narażać na nieprzyjemności... — rzekł nieśmiało.

Coroner zwrócił się teraz do żandarmów.

— Trzeba przywołać pana Smitha jako świadka — zawołał. — Znajduje on się podobno w hotelu, proszę go więc natychmiast przyprowadzić.

Nie potrzeba — odezwał się jakiś głos od strony drzwi. Mężczyzna, którego Byrd uważał słusznie za dedektiwa, położył w tejże chwili rękę na ramieniu nieznajomego, który obrócił się szybko, jak gdyby chciał uciekać. Byrd mógł teraz wygodnie spojrzeć mu w twarz, i ku swemu wielkiemu zadowoleniu poznał w nim tego, który wczoraj wieczorem tak pilnie czytał gazety w sali restauracyjnej.

— Co to znaczy? — krzyknął nieznajomy w najwyższem oburzeniu.

— Zaraz się pan dowiesz — odrzekł dedektiw spokojnie — proszę tylko iść ze mną.

Nieznajomy żadnego nie stawiał oporu. Zbliżył się do coronera, wyprostował swoją wysoką, zręczną postać i rzekł wyniośle:

— Czego pan chcesz odemnie?

Coroner spojrzał uważnie na detektiwa, potem zwrócił się do hotelisty.

— Znasz pan tego pana?

— Tak, to jest pan Klemens Smith.

Twarz nieznajomego pałała oburzeniem, milczał jednak, i patrzał wyzywająco na detektiwa.

— Sądzę, że zachodzi tu omyłka, — rzekł tenże stanowczo. — Nazwijmy go lepiej Walerym Hildret.

— Zkąd pan na tę myśl wpadasz? — zawołał nieznajomy blednąc, — o ile wiem, to nie mam honoru zaliczania cię do moich znajomych.

— Bardzo słusznie, — odpowiedział detektiw, wyciągając chustkę z kieszeni i podając mu ją. — Ale widziałem monogram pana i to mi wystarcza.

— Dosyć! Wiem teraz, że stałem się ofiarą szpiegowania.

I podnosząc hardo głowę, rzekł do coronera:

Jestem Walery Hildret. Przyjechałem z Toledo i pytam po raz drugi, czego pan chcesz odemnie?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Dokładne obliczenie czasu.

Po słowach tych głębokie i przykre w sali zapanowało milczenie. Pierwszy przerwał je coroner, zaczynając badanie Hildreta, to zaś, czego się od niego o przeszłości jego dowiedział, zgadzało się zupełnie z tem, co panna Firmin zeznała. Zapytany o cel swej podróży, odrzekł nieco zawstydzony, że chciał się tylko przekonać o stanie zdrowia pani Klimmer.

— Kiedy pan z nią rozmawiałeś? — pytał coroner.

We wtorek, około południa.

Słowa te wymówił śmiało i spojrzał dumnie na doktora.

— Więc przyznajesz pan, że byłeś u niej w dniu jej śmierci, i że widziałeś ją zdrową i żywą!

— Tak!

— Jakim sposobem wszedłeś do domu? Z strony ulicy.

— Tak!

— Jak długo pozostałeś pan u niej i jakim był rezultat waszej rozmowy?

— Byłem tam mniej więcej dziesięć minut, i dowiedziałem się, że pani Klimmer miewa się bardzo dobrze. Mogła dożyć do stu lat, tak przynajmniej na to wyglądała!

— I nie spotkałeś pan nikogo po drodze, albo nie widziałeś kogo przy oknie w innych domach?

— Nie!

— Proszę mi powtórzyć waszą rozmowę. Sprzeczaliście się o co?

Zapytanie to rozgniewało widocznie Walerego. Twarz jego wyrażała prawdziwą wściekłość, pomimo to usiłował jeszcze panować nad sobą.

— Pani Klimmer mówiła bardzo głośno i z wielkiem uniesieniem — odrzekł nareszcie przytłumionym głosem — nie wiedziała jednak, kim jestem. Przybyłem do niej jako kupiec cudownego środka, leczącego wszystkie choroby. Ale ona powiedziała mi, że nie chce mieć nic do czynienia z oszustami i nie potrzebuje żadnych lekarstw. Chcąc dojść do celu zacząłem wypytywać o jej zdrowie i wtedy krzyknęła głośno, że czuje się zdrową i silną i wskazała mi drzwi. Na tem skończyła się nasza rozmowa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Polska babcia.

I.

Pod czepeczkiem włos staranny
Zaczesany starą modą
Tak nosiły wszystkie panny
Kiedy babcia była młodą.

Miły uśmiech ma na twarzy,
Myśl pogodną — serce prawe
Konfitury sławnie smarzy,
I wyborną robi kawę.

Składa lat już kilkanaście
Do słoików i do sakiew
Różne zioła, różne maście,
I skuteczną zna dryjakiew.

Da ci lekarstw co się zmieści,
Z swej apteczki — byś był zdrowy:
Ma herbatkę na boleści,
Ziółka zaś na zawrót głowy.

II.

Znają we wsi wszyscy biedni
Pochyloną babci postać,
Mają od niej chleb powszedni,
W zimie — drzewa mogą dostać.

Cały dzień pończoszkę gmatwa
(Nigdy oczko jej nie spadło)
A w niedzielę wiejska dziatwa
Ćwiczy z babcią abecadło.

Wieczór do kaplicy bierze
Równie dzieci jak i czeladź,
Przed spoczynkiem na pacierze,
By cześć Bożą w serca przelać.

To też ludzie jej oddani,
Szczera wdzięczność jej zapłata,
„Nie ma jako starsza pani,
Daj jej Boże długie lata!“

K. Krumłowski.

Ostatnie łzy.

Był dzień jakiś senny.

Ludzie, co dawno kartofle skończyli okopywać, czekali, kiedy się zacznie jaka robota w polu. Wałęsano się po wsi bez celu, bez potrzeby — aby zabić czas, co cieknie tak pomału, że — widzi się — końca temu przednówkowi nie będzie.

Chłop kręci się sennie, leniwo po obejściu, a po niebie rćwnie sennie tarzają się skłębione chmury, grube, nisko nad ziemią wiszące, co przygniatają swojem cielskiem smutny widnokrąg. Ani z nich deszczu, ani pogody. Czasem przedrze się która, jak płótno zbutwiałe, co, rozwieszone rozłazi się pod swoim własnym ciężarem, a przez ten rozpad widać na chwilę niebo sine, łagodne i zawsze jednako uśmiechnięte, czy patrzy się na przednówki najcięższe, czy na obfite żniwa....

Na Michałowem obejściu gazda siedział okrakiem na dziadku i strugał deskę zawzięcie. Głową dziadka jeden koniec deski przycisnął, a drugi o piersi oparł i strugał, kiwając się, jak żyd modlitwy odprawiający. Ręce z ośnikiem przed siebie wyciągał, to kurczył, a wtedy z pod ostrza wyskakiwały cieńsze i grubsze wióry, jak wstążki, przesiąknięte zapachem świeżego drzewa.

Na suchą, ziemiastą twarz gazdy występowały krople potu. Ze skroni z pod włosów wypływały, z pod długich, ciemnych prostych włosów, zaginających się jak druty na ramionach, zgrzebną, połataną koszulą okrytych — ta powoli staczały się po obliczu Michała. Krople potu ścigały się — pomału na wilgotnej twarzy tworzyły się strumienie, cieknące po policzkach, brodzie, szyi, aż ginęły na rozchełstanej, suchej piersi.

Michał coraz częściej ucierał krótkim urwanym ruchem ręki twarz ceglastą zmęczeniem, coraz częściej odpoczywał, dysząc ciężko, — aż ustał, wyprostował się, obydwoma rękawami przejechał po spoconej twarzy i jęknął.

— To już i truny dla niego sam nie skończę — czy jak?...

Dyszał chwilę i znowu siadał, zabierając się powoli do roboty.

— Nie bój się.... będziesz miał trunę, jak pudełko... Samem deszczki wybierał nowe, bieluśkie, ta pachnące... Lepiej ci w niej będzie, jak w chałupie było.....

Michał patrzał na deskę, trzymając ośnik w ręku.

— I do grobu sam cię spuszczę — pomału, delikatnie... Ziemią sam cię przysypię, a nikomu nie dam, żeby nie bardzo po trunie dudniało. Pomału cię przysypię, cicho, ta mięciuśko, żeby cię nie zbudzić...

Westchnął.

— Bo tam taki lepiej, jak tu.

Spuścił głowę na piersi. Po chwili zaczął znów strugać, a przez mózg jego błyskawicami latały wspomnienia całego twardego życia. Obrazy migały, krzyżowały się, mieniły, plątały — żarzyły się iskrami silniejszych przebytych wrażeń, aż wszystkie słabsze ściemniały — rozwiały się, a został jeden pas, przetykany smutkiem i radością, rozpaczą i nadzieją.

Ale więcej złego zaznał Michał na świecie, niż dobrego.

Pamięta...

Małe chłopczysko, boso, po ostrem ściernisku uganiał się z siostrą, co kłóska zbierała. Na cierń skoczył, ta nogę przebódł strasznie. A ona, Hanka, ranę mu śliną obmyła, cierń paznokciami wyjęła, a potem zapaski kawał urwała, żeby nogę zawinąć.

Tak mu wtenczas jakoś dobrze było, tak dobrze...

Siwe oczy Hanki widzi do dziś dnia, widzi, jak pełne ciepłej troski patrzą w niego....

— Boli cię?....

— Nie boli, Haniu — nie boli...

Już wtedy dwoje ich ostało. Rodzice pomarli, a oni poszli do stryka, na ciężki sierocy chleb — na poniewierkę...

Szklane oczy Michała patrzyły martwotą rezygnacyi. Powlókł spojrzeniem po desce i patrzył na nią bezmyślnie...

Aha...

Raz jałówkę przywiódł z pastwiska, co się zduła na koniczu. Pomału wtenczas wracał, choć śpieszyło mu się jałówkę odratować. Długa była droga z pastwiska do chaty — przecież migiem minęła. Boże!... co się wtedy nie działo na strykowem obejściu... Ryk jałówki, nawoływanie i głośne rady sąsiadów, wyklinanie stryjenki, a potem stryk, jakby co do niego przystąpiło, za łeb go chwycił — ta jak nie zacznie prać.... Stryjna do siekiery — Hanka trąciła go przez przełaz i on pognał przez pola, a gnał, że dziwił się, skąd w nim po takim basarunku tyle siły siedzi. Przez dwie niedziele tłukł się po lesie, aż go dzwonników Mikołaj złapał, ta do wsi przywiódł.

Albo...

Pierwszy raz jechał konie w rzece pławić.

Już bydła od wtedy nie pasł — na parobka wyrósł... Pamięta, jak w niedzielę po służbie bożej pierwszy raz cwałował z parobkami przez wieś. Ludzie ze służby kupkami wychodzili — wszystko uradowane, niebo samo, widziało się, słoneczkiem do wsi zielonej mruga — a oni sadzą przez wieś w galopie, tłukąc sobą biedne szkapięta...

— Hop!.. hop!...

Co za honor — dziedzicem gdyby go kto zrobił, nie byłby taki hardy.

Uśmiechał się blado i ten uśmiech nie schodził z oblicza, kiedy deskę z pod dziadka wyciągnął i krajem do oka przyłożył, patrząc, czy równo zestrugał...

Pamięta..

W niedzielę do karczmy zaszedł, popatrzeć ta potańcować. Do Maryśki Kotowej podszedł, śpiewankę jakąś ułożył i śpiewać zaczął, kiedy go Jacko, co z wojska wtenczas wrócił — za piersi złapał, ta w kąt odrzucił. Jak szczeniaka go jedną ręką wziął i odrzucił...

— Takich skrepirowanych suchotników tu nie trza!... I nawet bić się z nim nie chciał. A jego kąsała złość po piersiach, ta z żeber po kawałku ciała żywego wydzierała — palce sobie gryzł, żeby choć swoją krwią wściekłość bezsilną napoić...

Goryczy pełne spojrzenie Michała ślizgało się po ostrzu lśniącego ośnika.

A potem...

Ona — Hanka zamąż wyszła i marnieć zaczęła i zmarniała: po pierwszem dziecku pomarła na — suchoty, tak jak rodzice, jak jego dzieci wszystkie, jak Hanczyne dziecko, jak nawet jego żona.

Boże — Boże... i poco to tego wszystkiego trza było....

Siedział na ławie okrakiem, ośnik wyleciał mu z rąk, a on je oparł na desce i schylony rzucał z pod brwi smutne spojrzenie po samotnem obejściu.

Potem... do lat przyszedł, ta ożenił się. Zaczęła się twarda praca i ciężkie znoje potem i łzami oblane. Szare życie ciężkich trudów, co to dłonie modzelami oblekają, a z serca człowieka wyganiają wszystko ciepło dla ludzkiej niedoli...

Cios za ciosem spadał na niego. To dziecko umarło, stodoła zgorzała, to, ledwo ją odbudował, wieś cała z dymem poszła — to jałówka padła, to chłopca pierwszego do wojska mu wzięli, gdzie w rok skapał z udręki... straszny wieniec nieszczęść, z których każde osobno człowieka strawić może.

Całemi miesiącami nie najeść się do syta, gryść się ciągle o każdą topkę soli, o każdy prawie kawałek strawy, co się do gęby kładzie, — martwieć z powodu każdego kaszlnięcia, którego z dziecisk, żreć się ze sąsiadami, — niedostatek, upokorzenie, zwątpienie, czasem rozpacz,

czasem mała radość — ta oszukanica, co błyszczy zdaleka i prowadzi cię do czegoś nieznanego, co ci się lepszem zdaje, właśnie jak ten zły ognik, co po moczarach miga i wodzi zbłąkanego, póki go z sił nie obedrze, ta trupem na ziemię nie zwali...

— I poco to... poco to wszystko...

Jakieś przeklęte nasienie...

Dzieciska mrzeć mu zaczęły. Co podchowało się trochę, to marło. Marło jedne po drugiem, aż przyszła kolej na matkę. Umarła i kłopot ze sobą zabrała, czy będzie miał Michał płótniankę wypraną na służbę Bożą w niedzielę.

A on, po zasypaniu każdego grobu czuł, że koło niego coraz to więcej rozszerza się pustka, co go sobą obwija i gniecie i dławi i dusi coraz silniej — wpija się w jego ciało, w mózg wżera, a głusząc wszystkie ostatki nadziei, w grób go chodzący zamienia.

Czekał jeno, kiedy mu skapie ostatnie dziecko. Spodziewał się — wiedział na pewne, że nic z chłopca nie będzie — a przecież łudził się czasem, że może śmierć jakoś oszuka. Chodzić go sam nauczył, gadać, spał z nim razem — na krok go od siebie nie puszczał. Nacieszyć się chciał nim ostatnim — i czasem zdawało mu się, że wszystkie groby odżyją w tym małym, o krzywych nogach chłopczysku.

A kiedy znów ta nadzieja rozświetliła jego straszną pustkę, to — zląkł się jej...

Wiedział, że w nim czatują zarodki tej samej choroby, co całą jego rodzinę na cmentarz zielony wysłała. Wiedział to, czuł czasem zimne śmierci dotknięcie, kiedy na piecu leżał z chłopczykiem, a w ciemnej otchłani nocy deszcz szemrał za oknem jękliwie — noc straszne, stłumione westchnienia zionęła. Okrutny strach wtenczas białością mu oczy zaciągał i życie w nim mroził, w potwornych rysując mu kształtach bolesną nędzę sieroty po śmierci ojcowskiej.

Ta sama dola, co jego, czeka chłopca sierotę. Te same trudy i bole, ta sama rozpacz, nadzieje te same, to samo twarde skapane życie, to samo pchanie ciężaru pod górę po drodze spadzistej poto, aby co krok to niżej spadać, a kawałkami krwi skrzepłej, z serca wydartej znaczyć po urwisku ślady swojego staczania się w przepaść...

Nieraz byłby skonał.

Pewnie byłby już skonał, gdyby był śmierci nie przemógł. Żyć chciał strasznie! Póki dziecko ostatnie żyje chciał żyć — i woli olbrzymim wysiłkiem odpędzał śmierć od nalepy, a ona, mocą tą gnana, po kątach kurnej chałupy przypadała. Czaiła się...

Podczas nocy zimowych, chłodnych i strasznych długością, Michał walkę zażartą toczył ze śmiercią.

A kiedy chorobą zjedzony osłabł, w pokorę do śmierci się udał, bo bał się, że siłą nie wskóra.

W noc ciemną, mocniejsza jego słabością, z kątów mrocznych wypełzła, ze wszystkich szpar suje swą trupiość — zbliża się coraz... jest wszędzie. Nalepę sobą potrąca, natrętnie dmucha mu w oczy, ręką tak zimną, że parzy, policzków jego dotyka — członkami swoimi go mota...

— Jego wprzód... jego... łkał Michał.

Aż i uprosił...

A teraz siedzi, głowę w zadumie skłoniwszy, a po wyschłych policzkach dwie łzy spłynęły i na deskę białą upadły.

Dwie łzy ostatnie.

Władysław Jarosz.

U schyłku wieku.

O Polsko! Matko! maro mej miłości,
Któraś mi gwiazdą świeciła przez życie!
Czy cię zobaczę jeszcze w ziemskim bycie?
Czy tam dopiero w krainie wieczności
Twa postać święta błyśnie mi wspaniale,
Jak Boży Seraf w swej nadziemskiej chwale?

Gdym ujrzał światło, ciebie już nie było —
Wrogi twe, Matko, mówiły o tobie,
Że gdy raz pierś twą przykryli mogiłą,
To już na wieki zostaniesz w tym grobie,
To już na wieki dzieci twe, sieroty,
Służyć im muszą i ginąć z tęsknoty.

Ale ja wtenczas nie wiedziałem o tem,
Gdym na strop nieba patrzał błękitnawy,
Słonecznych blasków przetykany złotem,
Na łany zboża, zwierciadlane stawy —
Gdym uchem dziecka pełen upojenia
Słuchał raz pierwszy hymnu wszechstworzenia.

Tylko mi matka nuciła kochana
Pieśni o Bogu, o Aniołach Jego,
O ślicznej Matce niebieskiego Pana,
Która dziecinę zachowa od złego —
A ja patrzałem, rychło mi zapłonie
Postać Jej w szacie słońc i w gwiazd koronie.

A kiedym bujał śród łąk przy ruczaju,
Upojon kwiatów widokiem i ludzi:
To mi się zdało, żem duch zbawion w raju,
Że już mej białej szaty nic nie zbrudzi,
Aż patrzącemu w dobrych bliźnich twarze
Kiedyś Bóg wielki świętą twarz ukaże.

A nie wiedziałem, że za tą powłoką
Życia śmierć krąży — kryją się szatany,
Że się przerazi wnet dziecinne oko,
Do głębi zadrży duch ukołysany,
Gdy mu się zjawi rozpasana, wściekła,
Tłuszcza krwi chciwa, jak złe duchy z piekła.

I już wygnańcem uczułem się z raju,
Na widok ludu wzburzonego zbrodni,
Na jęki braci dochodzące z kraju,
W których krwi bracia brodzili wyrodni,
Ślepe narzędzia w mściwej dłoni wroga,
Które wnet skruszyć miała ręka Boga.

Bo na lud przyszło blade widmo głodu
I pomór straszny — znaki niebios kary
Za zniweczone nadzieje narodu —
I zobaczyłem błądzące, jak mary,
Postacie blade o znędzniałych licach,
Z trawiącym ogniem rozpaczy w źrenicach.

I w duchu-m zadrżał przed potęgą Bożą,
I zrozumiałem, że wieczna i święta —
A Pan wnet jasną ucieszył mnie zorzą,
Którą duch dotąd z zachwytem pamięta,
Gdy głos wolności przez wszystkie szedł kraje,
A do nas wołał: „Polska zmartwychwstaje!“

I wtedy imię jej padło w me serce
Z obrazem dziejów zbiegłych lat tysiąca;
A choć nadzieję tłumili morderce,
Nie pękła struna odtąd w sercu brzmiąca,
Co tyle zmiennych przetrwała kolei,
Struna miłości, wiary i nadziei.

Odtąd jam, Matko, w sercu nosił ciebie,
Jak świętość wielką i niepokalaną,
I czułem duszę twą śród gwiazd na niebie,
Czułem ją w całej przyrodzie rozlaną:
W szumie pól, borów, w leśnych ptasząt śpiewie,
W promieniach słońca i wichrów powiewie.

I jam cię kochał w gór twoich granitach
I w wszystkich głosach tej zdeptanej ziemi,
W zieleni łanów, w strumieni błękitach
I w pieśni ludu płynącej nad niemi;
Bom mu przebaczył w sercu krwawe czyny,
Widząc w nim, Matko, twe najmłodsze syny.

A gdy mi twoje dzieje powiadano,
Twoje zwycięstwa i wiekowe męki:
Widziałem w duszy krew twoją przelaną,
Słyszałem ofiar mordowanych jęki,
I na przemiany sercem mem wstrząsały
Dni twej rozpaczy i wspomnienia chwały.

I znałem jeszcze te postacie dzielne
Z czasów Kościuszki i Samo-Sierry,
I z pod Grochowa męże nieśmiertelne,
Z których bił ducha blask jasny i szczery,
Co mi w pamięci niezatarty świeci,
Jakby z posągów minionych stuleci.

A kędym spojrzał, każden ziemi kątek
Brzmiał twą miłością, oMatko kochana —
Świeciła ona z ócz ślicznych dziewcząt
I w mężnej twarzy każdego młodziana,
W uśmiechu dziecka w rannej życia dobie,
W starca ostatniem spojrzeniu — na grobie.

O! bo z nich każdy, choć znał przodków błędy,
Wierzył, że duch twój był niepokalany,
Że wiernie Bogu służył zawsze, wszędy —
Że wzbudzi ciebie z grobu Pan nad pany,
Abyś mu była śród fałszów sromoty
Opoką wiary, wizerunkiem cnoty.

A gdy czas przyszedł, poszli wszyscy społem
W bój beznadziejny, i wielcy i mali;
Z męstwem i wiarą, z podniesionem czołem
Szli i swą czystą krew za ciebie lali
Na polach bitew, w stokach cytadeli,
Nie ustraszeni, święci — jak Anieli.

Taką niezłomną darzyła ich mocą
Wiara, że włada nad światem Duch Boży,
Że Światłość, Prawda zwyciężą nad nocą,
Że Chrystusowi podnóżkiem położy
Bóg wszelkie wrogi, a Jego narzędziem
W tej walce, Matko — my, dzieci twe, będziem.

I krew szlachetnych zrumieniła niwy;
Bo na bezbronnych straszny bój z olbrzymem
Patrzał bezduszny świat — gdy nieszczęśliwy
Naród w krwi tonął, a kraj poszedł z dymem,
Gdy tysiąc ofiar padło z kata ręki,
Krocie w kraj lodów pognano na męki.

Lecz ci szczęśliwi, co polegli z wiarą
Lub męki cierpią w podziemnych pieczarach;
Bo im nagrodzi Bóg sowitą miarą,
Że wiernie stali przy Jego sztandarach;
Bo gdy śmierć skruszy ciała ich łańcuchy,
Tam ich z miłością przyjmą ojców duchy.

Ale nad tymi trzeba łzę uronić,
Co zaprzeczyli Światłości na niebie,

By za swych mózgów złudną marą gonić,
A potem, Matko, zaprzeć się i Ciebie;
Bo im się zdało, że swą myślą marną
Bezmiar wszechświata i wieczność ogarną.

Z krainy Światła przyszła Prawda sama,
Przyniosła miłość i skarby żywota
I z prochu dźwigła biedny ród Adama —
A lichy pyłek w pysze swej się miota
Przeciwko Prawdzie, aż zginie w rozpaczy,
Ale światłości nigdy nie zobaczy.

Tak zatraciwszy boską iskrę ducha,
Jako cel życia głoszą ciał wygodę —
A tłum bezmyślny, jak wyroczni słucha
Głosów, co serca zatruwając młode,
Do nienawiści, do hańby przywodzą
I tysiącami samobójców rodzą.

Ach! ból mi serce przejmuje do głębi,
Gdy patrzę na tę dziatwę młodocianą,
Z dorodnem licem, z sercami gołębi,
Przewrotnych haseł szałem oderwaną
Od twej matczynej piersi, Polsko droga,
Lecącą w przepaść, bez wiary — bez Boga!

Gdy wrogi możne wszech piekieł potęgą
Tłoczą pierś twoją i w chciwe ramiona
Garną świat, myśląc, że go w jarzmo wprzęgą,
A nam ostatki życia wydrą z łona:
Oni twej dawnej urągając chwale,
Ręce na braci podnoszą zuchwale.

A tamci drudzy, co przez wieki całe
Pod skrzydłem twojem w złej i dobrej doli
Szli razem z tobą — dzielili twą chwałę —
Dzisiaj, choć jęczą w tej samej niewoli,
Za nic krwi za nich przelanej nie liczą,
Ku wrogom rękę wznosząc niewolniczą.

O! bo ty, Matko przebita, zdeptana,
Możesz w spuściźnie dać im tylko sławę
I za Królowę Matkę niebios Pana —
I pieśni wieszczów, potężne a łzawe,
Głoszące miłość, przebaczenie... niebo —
Im skarby ziemskie, nienawiść potrzebą.

O! niech się tuczą i jedni i drudzy,
Aż wobec śmierci staną nędzni, nadzy —
Bo z czarta mocą padną jego słudzy —
Przeminie chwila znikomej ich władzy;
I błysną, Matko, dawne twe sztandary:
Miłości, cnoty, nadziei i wiary.

Dziś, choć z twej chwały minionych stuleci
Strzępy zostały i krwawa mogiła,
Chociaż cię własne odstępują dzieci:
Dla mnie tyś Matko nad świat cały miła!
Niech wróg potęgą swoją się przechwala —
Mnie grób twój droższy niż skarby Moskala.

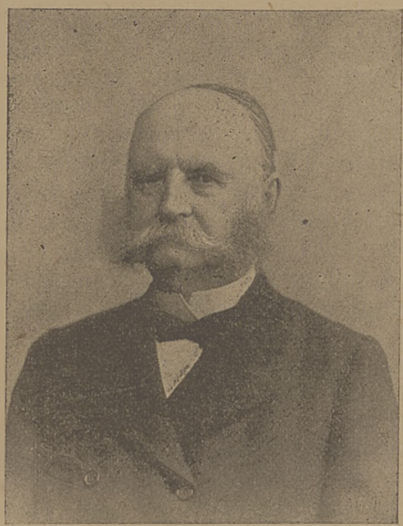
Bo wiem, żeś była pracownicą Bożą,
A dziś za grzechy dźwigasz krzyża brzemię —
Ale przepaście grobu się otworzą,
Gdy Prawda Boża wyswobodzi ziemię —
I choć na grobach naszych nieustanna
Zabrzmi pieśń Bogu: „Hosanna! hosanna!“

Wincenty Stroka.

✝

Ś. p. hr. Józef Mielżyński.

Żałobna wieść o nagłym zgonie ś. p. hr. Józefa Mielżyńskiego z Iwna rozeszła się lotem błyskawicy po mieście naszem i szczerym serca ogarnęła smutkiem, że znowu społeczeństwu naszemu ubył tak użyteczny, tak wybitny i tak ogólnie wysoko ceniony i szanowany członek. A coraz mniej wśród nas takich postaci, jaką był zmarły hrabia Józef Mielżyński. Najstarszy syn hr. Macieja i Konstancyi z hr. Mielżyńskich z Pawłowic, przechował Zmarły tradycyjne cnoty rodzinne i nie zasklepiając się w życiu prywatnem, siły swoje, doświadczenie i zdolności oddał na usługi społeczeństwa naszego.



Ś. p. hrabia Józef Mielżyński.

Jeżeli nie wszystko mu się wiodło stosownie do najlepszych chęci obywatelskich, to sam ubolewał najmocniej nad odnośną bezwzględnością i ironią losów, które go też podniecały do tem wydatniejszej działalności, a skierowanej inną drogą ku podtrzymywaniu siły narodowej i wzmacnianiu narodowych instytucyi. Jako jeden z głównych czynników instytucyi Bazarowej, wiadomo, o ile się w niej przyczyniał do podtrzymania tradycyi takich mężów jak Karol Marcinkowski i Maciej hr. Mielżyński. Instytucya ta nietylko samem istnieniem swem służy wogóle społeczności naszej, ale hojną ręką, za przyczynieniem się zmarłego, wspomagała inne instytucye, których tu wymieniać nie potrzeba. Oby wszyscy, których losy postawiły na czele fortun tak znacznych i podobnej obowiązkowości obywatelskiej, poczuwali się do pełnienia jej miarą, jakiej nigdy się nie wypierał Zmarły bądź w publicznem, bądź w prywatnem życiu, a wszędzie tam, gdzie potrzeba było czynić dobrze.

Znany jest między innemi stosunek jego do Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którą już ś. p. Seweryn, stryj jego, tak hojną i wszechstronną otaczał opieką. Spodziewać się należy, że Zmarły stosunek ten zgodnie z intencyami ś. p. hr. Seweryna objaśnił i ustalił w ostatniej woli, której pozostawić zapewne nie zaniechał, zwłaszcza wobec okoliczności, że nie pozostawia spadkobiercy po mieczu.

Nie tylko rodzina zmarłego, rozgałęziona we wszystkich dzielnicach Polski, ale całe społeczeństwo, jeszcze u nas obywatelskim duchem przejęte, opłakuje zgon ś. p. J. Mielżyńskiego wraz z licznym szeregiem tych, którym bądź publicznie, bądź w cichości świadczył dobrodziejstwa na wszystkich polach społecznych.

Stosunki jego rozległe niejednokrotnie pozwalały mu występować czynnie i nie bez skutku na politycznem polu; bądź jako członek Izby panów, bądź jako rodowy reprezentant, jako społeczna ilustracya, należał zawsze i wszędzie do notablów narodowości polskiej, uznanych nie tylko u swoich, ale tak samo u władz jak i u społeczeństwa niemieckiego.

Przed dwoma laty, utraciwszy wskutek długiej i bolesnej choroby małżonkę swoją, ś. p. Emilią z hr. Bnińskich, która z głębokiem poddaniem się woli Bożej pożegnała się z życiem ziemskiem, hrabia Józef kilkakrotnie zapadał na zdrowiu, lecz mimo to nie ustawał w pracy i nikt nie domyślał się, że śmiertelna choroba podkopawszy zdradliwie siły jego, przerwie nagle nić pożytecznego żywota. Wierny syn Kościoła i człowiek głębokiej wiary, doznał Zmarły tej pociechy i zaszczytu, że Ojciec święty w uznaniu jego zasług obdarzył go wielkim krzyżem i wstęgą św. Grzegorza. Zmarły był w całem znaczeniu słowa czystą, szlachetną duszą, a nad wszystkiem górowała u niego przez całe życie niezłomna, gorąca religijność i przywiązanie do Stolicy świętej. Z tem zaś wiązała się u niego niezwykła ofiarność na wszelkie cele miłosierne i społeczne, wielka a zawsze mądra litość na ludzkie nędze. Podwładni tracą w nim sprawiedliwego pana, społeczeństwo zacnego męża, a osierocone córki ukochanego nad wszystko ojca. Niech tych słów parę, które rzuciliśmy na papier, będą dla nich wyrazem głębokiego współczucia, jakiem przejęci jesteśmy z powodu zgonu hr. Józefa.

Wieczny odpoczynek racz Mu dać Panie!

Kronika.

Policya i „Jupiter pluvius“ uczyniły wszystko, aby zlotowi sokolemu ująć uroku, a jednak zlot się udał i był okazałym. Policya tak ograniczyła noszenie munduru sokolego, że Sokoły zrezygnowały z ukazania się na zlocie w mundurach, a Jupiter deszczonośny kwasił się w sobotę przez wieczór cały. W niedzielę okazał łaskawsze oblicze, ale resztki swego złego humoru zlewał w postaci rzęsistego deszczu na samym początku ćwiczeń, na bojaźliwie i wahająco zbierającą się publiczność. Dopiero w chwili, gdy groźny ten bożek pogański ujrzał cały zastęp, występujący w zwartych szeregach ćwiczeń dowolnych, rozpogodziło się ponure oblicze. Słońce zajaśniało i przyświecało już przez resztę dnia dziarskim zastępom sokolim.

Może Jowiszowi przypomniały się dni sławy prastarej Hellady, owe wspaniałe i chluby pełne zawody i gry olimpijskie, że tak nagle rozpogodziło się jego oblicze! Przecież patrzał, jak za dawnych czasów, na rzucanie dyskiem, ćwiczenie ulubione młodzieży helleńskiej, przecież widział rzucanie oszczepem, którym tak dzielnie władali Achille, Diomedy i Ajaksy.

Lecz opuśćmy ton olimpijski a powróćmy do rzeczywistości.

Na boisku stanęło do ćwiczeń odbywających się pod przewodem naczelnika związkowego, druha W. Gładysza, *386* druhów. Pozornie liczba ta wydaje się nie wielką, a jednak świadczy ona o pilnej pracy Sokoła około rozwoju gimnastyki. Trzeba bowiem wiedzieć, że na pierwszym zlocie było Sokołów ćwiczących *70*, na drugim w r. 1896tym *223* a na obecnie odbytym *386* — a więc 5 i półraza więcej niż na zlocie pierwszym.

Jest to najlepszym dowodem, że *podejrzenie najrozmaitszych władz, że sokolstwo zajmuje się wszystkiem innem, tylko nie gimnastyką, jest zupełnie bezpodstawnem.*

Powinna być wprawdzie liczba ćwiczących jeszcze większą, lecz trzeba zważyć, że myśl szerzenia zamiłowania do gimnastyki u nas jest stosunkowo młodą i że może dopiero w nadrastającem pokoleniu zakorzeni się silniej.

W każdym razie nie powinniśmy ustawać w pracy nad szerzeniem myśli Sokolej: *w zdrowem ciele zdrowy duch!* Siła tej myśli przenika nie tylko w niższe warstwy społeczne, lecz sięga także do wyższych. Tak widziałem na ostatnim zlocie kilku ziemian jako prezesów gniazd sokolich. Wymienię tu tylko, p. Władysława *Jantę - Połczyńskiego,* dziedzica Rędgoszczy i p. *Milewskiego* z Kijewa. Przykład dany przez tych panów powinien znaleźć liczniejszych naśladowców.

Z gniazd najlepiej liczebnie było pokryte gniazdo poznańskie, a po niem gniazdo berlińskie, którego doborowy oddział w ćwiczeniach na sprzętach zyskał ogólny poklask i palmę pierwszeństwa.

Nie będę zdawał oceny poszczególnych ćwiczeń, zapalne „Czołem" i przeciągłe oklaski świadczyły wymownie o tem, że ćwiczenia przypadły wszystkim do gustu.

W zlocie wzięły udział 32 gniazda z 818 druhami — ćwiczących Sokołów przysłały 33 gniazda. Specyalniejszych dat nie podaję, przypuszczam bowiem, że ktoś inny da dokładny na to pogląd.

A teraz do naszej szanownej policyi, której liczni reprezentanci kręcili się w cywilnych ubraniach po boisku. Dziwna rzecz, że takich panów od razu się pozna! — Fizyognomia ich ma specyalną swą cechę, nie powiem, żeby ta cecha budziła we mnie uczucia sympatyi!

Szanowna policya w swym zakazie o pochodzie, w swych ograniczeniach odnoszących się do noszenia mundurów, o przyjeździe gości itd. wspomniała o konieczności tych zakazów ze względu na utrzymanie spokoju i porządku. Śmiesznem jest to powoływanie się na utrzymanie spokoju i porządku wobec polskich zgromadzeń!

Kto był kiedy obecnym na popisach gimnastycznych niemieckich, temu od razu w oczy wpadły rzesze kręcących się w mieście, w którem zgromadzenie się odbywa, podchmielonych turnerów zuchwale pokrzykujących, opitych piwem i roztrącających przechodniów. Wszystko to jest „forsch, schneidig" — i policya z wyrazem zachwytu patrzy na tę przyszłość germańską.

A powiedzmy sobie, czy widział kto na zlocie podchmielonego Sokoła, albo kogobądź skłonnego do burd. Uderzał przeciwnie każdego nadzwyczajny spokój, wielki porządek i ta polska wrodzona uprzejmość, a jednak policya w ciągłej obawie o zakłócenie porządku publicznego. — Ponure oblicza policyantów pruskich zasępiały się coraz więcej, bo nic, ale zgoła nic nie mogli chyba znaleźć, co mogłoby im posłużyć do napisania sążnistego referatu o *„niebezpieczeństwie polskiem."*

Zanim zakończę uwagi moje o zlocie wyrazić muszę uznanie oddziałowi kołowników, którego reje prowadzone i wykonane były po mistrzowsku. Czołem Sokołom!

Jeżeli władze sądzą, że te ćwiczenia sokole takie niebezpieczne dla całości państwa, *powinny w pierwszym rzędzie uwolnić wzzystkich Polaków od służby wojskowej. Rok służby wojskowej zaznajomi każdego z rzemiosłem wojennym lepiej, niż cały wiek młodzieńczy i męzki spędzony w szeregach Sokołów.* — Ta prawda bije po prostu w oczy, a jednak nie chcą jej władze dostrzedz — bo im z tem na rękę.

Wspomniałem w przeszłej kronice o rozporządzeniu ministeryalnem, usuwającem ze szkół wykład polski nauki religii. Dowiaduję się, że nasi malcy, a więc istoty najciężej dotknięte tem rozporządzeniem, żywo protestują przeciwko „Vaterunsrom". — Nie chcą chodzić do szkoły, nie chcą odpowiadać na niemieckie zapytania i tak dalej. Rodzice nie wiedzą co robić, a nauczyciele w kłopocie.

Nie podmawiam do oporu, ale swoją drogą się cieszę, że w duszy polskiego dziecka tak żywo żyje poczucie krzywdy, wyrządzonej językowi ojczystemu. Ci malcy, którzy już dziś mają takie zamiłowanie do języka ojczystego, wyrosną na dzielnych niewątpliwie obywateli, a plagi za tę miłość do ojczystego języka otrzymane, wzbudzą tylko w nich większą nienawiść do wszystkiego, co niemieckie. Takie męczeństwo hartuje i uszlachetnia duszę.

Verus.

Wiadomości literackie.

Pereświt „Bajka." Lwów 1900. Towarzystwo Wydawnicze.

Wśród licznych nowości, jakie w ostatnich czasach rzuciło na rynek księgarski ruchliwe Towarzystwo wydawnicze niepoślednie miejsce zajmuje wydana obecnie „Bajka", której autorem jest Pereświt. (Pseudonym.)

Bajka — jest to utwór, któryby można nazwać dramatycznym poematem, napisanym prozą. Treść swą czerpie ona z krainy rzeczywistości: z krainy łez i smutku, z niedoli nieszczęśliwego ciemiężonego narodu. Z każdej stronnicy przemawia do nas coś niby znanego, niby codziennego, a jednakowo bolesnego, — przemawia smutek niewoli, do której naród przyzwyczaić się nigdy nie zdoła.

Rzecz dzieje się niby w świecie fantazyi, a losy ludzi są poniekąd symbolami losów całego narodu, lecz całość porusza się w sferze tak bliskiej naszemu sercu, że staje przed nami w pełnem świetle prawdy i rzeczywistości.

Dobrze to świadczy o naszej literaturze, że coraz częściej pojawiają się utwory osnute na tle mąk i wewnętrznej duchowej rozterki, w którą wpada duch narodu, tęskniący do wolności, a karmiony zatrutem powietrzem więziennych murów.

Dobrze to świadczy — wskazuje bowiem, że nasza poezya jest w ścisłym związku z życiem i że współczując z bólem, którym drgają serc miliony, ten ból niepowszedni uważa za krynicę, a z której można i należy czerpać przedziwnej piękności tematy — choć łzawe i smutne, choć echem rozpaczy i zgrzytem zwątpienia nieraz przesiąkłe, ale zawsze głębokie i dla artystycznego ujęcia przedstawiające teren świeży, niewyzyskany a obfity.

Pośród tych utworów „Bajka" co do swej wartości nie będzie ostatnia.

Treść „Bajki", — to dzieje kilku pokoleń rodziny niegdyś wolnej, potem uciemiężonej. Ciemięzcy wypędzają mieszkańców z chaty, którą oni i ich ojcowie postawili własnemi rękoma, każą im się przesiedlić w obcą krainę i opuścić łany, które uprawiali tyle lat i ziemię, na której wyrośli i którą ukochali.

Bezbrzeżna rozpacz i nędza, jaką ze sobą niesie niewola, tryska z całego szeregu scen, przedstawiających losy nieszczęsnych niewolników. Stokroć ważniejszym jednak od historyi losu ciemiężonych, od akcyi zewnętrznej, stanowiącej treść „Bajki" jest akcya wewnętrzna, jest proces psychologiczny dokonywujący się w sercu i umyśle prześladowanych. Pod wpływem niewoli przekształca się i wola na niemą wykonawczynię rozkazu „pana", i myśl zaczyna się błąkać po bezbrzeżnej krainie zwątpienia i smutku, a w całej moralnej istocie dokonywuje się jakiś przełom... Widzimy, że niewolnicy nie potrafili by już być wolnymi, choć tęsknią w głębi duszy za wolnością. Jak wzrok więźnia, przywykły do półmroku szarych sklepień i murów więziennych, nie znosi pełnego światła, słońca, tak i zdeprawowany niewolą lud wolności by użyć nie umiał, tak w nim wyrobiło drugą, niewolniczą naturę nadsłuchiwanie tylko świstu bicza, spadającego na barki opornych.

A k t u t r z e c i e g o s c e n a d r u g a (rozstanie się Lechowiczów z chatą) wspaniale i głęboko to przedstawia.

Wchodzi m a t k a, dziecię szczelnie w chustę owinięte na ręku niesie, a drugą ręką Staszka za rączkę przytrzymuje.

M a t k a: Usnęło mi w drodze to maleńkie...

Te dziatki biedne ze sobą wzięłam.... A obchodziłam, obchodziłam dawne gniazdo nasze... i byli my wszędzie: na łąkach i na polu, a wędrowali potem aż do lasu.

Oj, znużyły się bardzo stare nogi moje. (Siada) L e c h o w i c z (zwraca się ku niej i ostro pyta). I po co wyście tam wodzili dzieci?

M a t k a (zdziwiona). Jakto: poco? Ano niech pamięta Staszek! Ten drugi maluśki!... prawda! spamiętać on nie może...

Ale tak mi się widziało: niech i ten pożegna... niech i ten pożegna... wszak tu gniazdo było.

L e c h o w i c z. Ja matko, nie chcę tej pamięci!

M a t k a. Ej, sercu pamięci nie zakaże moc niczyja!

L e c h o w i c z. I wam nie dozwolę opowiadać, matko! milczeć musicie i milczeć jak ta ryba!

M a t k a. Milczeć?

L e c h o w i c z. Niechaj oni, synowie moi, nic nie wiedzą!

(G w a ł t o w n i e). Pocóż im cierpieć napróżno? niechaj nic nie czują!

Tak! poco to? nie trzeba!

Tak! Nijakiej myśli! nijakiego czucia! —

Zapomnieć! zapomnieć! bo inaczej ten wielki ból zadusi... a przecie... niema rady!

(Z jękiem chwyta się za głowę i z izby wybiega).

Filozoficzno-psychologiczny podład tej sceny czyni z niej jedną z najgłębszych, jakie na strunie zbolałego narodowego uczucia wygrano.

W „Bajce“ jest młodość, jest życie. Pod niszczącem tchnieniem rozpaczliwego pessymizmu dojrzewa kwiat nadziei. Z ojców, co jak Lechowie, nie zdolni już są do buntu, bo ich samo spojrzenie pana poskramia tak, że jak psy, poskromione spojrzeniem właściciela, tarzają się u stóp pogromcy, z tych ojców-niewolników powstaje młode pokolenie z żądzą wolności, z poczuciem prawa buntu, z nadzieją zwycięztwa.

Bunt, poskromiony w ojcach, odradza się w synach i wbrew woli pogromców rozbrzmiewa hymnem nadziei:

My będziemy żyli.

Taki jest ostatni akord w „Bajce.“

Piękny ten utwór, w którym poezya płynie z tak szlachetnego źródła poczucia krzywd narodowi wyrządzonych, polecamy gorąco uwadze naszych Czytelników.

Książki, wydane dotychczas przez lwowskie Towarzystwo Wydawnicze zyskały na naszym rynku księgarskim już bardzo dobrą markę: „Bajka“ Pereświta, tylko do podniesienia tej marki się przyczyni. *C.*

Wiadomości.

Zlot Sokołów udał się nad wyraz świetnie. Pomimo niepogody i wszelkich możliwych i niemożliwych przeszkód nam zawsze życzliwej policyi — przeszło 800 druhów pospieszyło do Poznania, by po sokolsku, w milczeniu „uścisnąć dłoń bratnią i spojrzeć sobie w oko.“

Po trzykroć cześć i sława Braciom Sokołom, naszym serdecznym druhom, którzy karnością, porządkiem i zgodą dali najwymowniejszy dowód, że tylko „w zdrowem ciele zdrowy duch.“

Cześć i sława wszystkim przodownikom Sokoła, którzy z zaparciem siebie pracowali nad urzeczywistnieniem tak świetnej uroczystości.

W następnym numerze podamy szczegółowy opis Zlotu z dołączeniem odnośnych illustracyi. Wypada nam jeszcze tylko zaznaczyć wspaniałą mowę prezesa związku, p. mecenasa Chrzanowskiego, ujętą w piękne, a tak rzewne i serdeczne słowa, że wszystkich obecnych poruszyła do łez. To też w miejsce gorącej podzięki nie było końca oklaskom, a z setek ust wyrwał się pełen uniesienia gromki okrzyk: „Czołem!“

Bezecnem kłamstwem nazwał p. Przybyszewski z Kurcewa nikczemnie rzuconą potwarz, zamieszczoną skwapliwie w „Dzienniku Poznańskim,“ jakoby pertraktował z komisyą kolonizacyjną o sprzedaż swego pięknego majątku.

My tej plotce z góry nie dali wiary i poczytali takową jako marną robotę nieprawego człowieka!

P. Przybyszewskiemu za krótką a tak dobitną odpowiedź w imieniu całego społeczeństwa „Czołem.“

Żniwa się kończą — przypominamy więc, komu należy, a mianowicie Komitetom wyborczym powiatowym obowiązek zwoływania wieców celem wzajemnego informowania się w sprawie prywatnej domowej nauki języka polskiego i rozszerzania elementarzy. Wieców takich zwołać trzeba jak najwięcej, aby myśl samopomocy dotarła do najodleglejszych zakątków!!

Powrócił z podróży do Poznania p. dr. Stasiński, okulista.

Powrócił z Kołobrzegu do Poznania p. dr. Chrzanowski, specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie.

Kto się chce zaopatrzyć w dobry zegarek u zegarmistrza — fachowca niech się uda po takowy z zaufaniem do p. B. Sadowskiego, zegarmistrza w Krotoszynie. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym inseracie, na który zwracamy baczną uwagę Szanownym Czytelnikom.

Szanownym Czytelnikom zwracamy uwagę na dzisiajszy anons Banku Parcelacyjnego. Bank ten chce swój folwark zamienić na gospodarstwo we wsi, gdzie parcelacya możliwa. Sądzimy, że jestto dobra sposobność dla tych panów gospodarzy, którzy swych małych gospodarstw nie mogli się pozbyć, do korzystnej sprzedaży obecnie posiadanych gospodarstw a także do równoczesnego dobrego kupna folwarku.

Z prowincyi. Jestem fachowym księgarzem, pracowałem przez lat 10 w renomowanych firmach w Warszawie, Łodzi i Krakowie. Pragnąłbym obecnie założyć księgarnię na własny rachunek, nie mogłem jednakże do tej pory odpowiedniej znaleść miejscowości. Udaję się przeto do Szanownego Redaktora z uprzejmą prośbą o łaskawą pomoc w tym względzie, za którą bardzo mu wdzięcznym będę. Może Szan. Redaktor będzie mógł wskazać odpowiednią miejscowość, gdzieby Polak księgarz dobrą mógł znaleść egzystencyą i powodzenie. — O łaskawe informacye w tej sprawie prosimy. — Przyp. Redakcyi.

Mogilno. Gospodarstwo Chabsko 112 mórg Marcina Smyka nabyła w drodze subhasty Komisya kolonizacyjna za 32000 mk. Żniwo było na tym gruncie liche, stodoła i stajnia dzień przed zaprowadzeniem sekwestracyi się spaliła, inwentarz były „właściciel zupełnie wyprzedał a jednak wysoką cenę Kolonizacya podała.

Z Polaków stanął do licytacyi tylko p. Józef Stark, podał 31800 marek, gdy zastępca Kolonizacyi i tę sumę na 32000 marek przelicytował. p. Stark się cofnął. Zaczęło się w naszej parafii od Padniewa a już chmury idą coraz dalej. Opowiadają tu, że w biegu jest targ na większy obszar. Oby się nie spełniło!

Na sprzedaż jest w ożywionem mieście w Prusach Zachodnich księgarnia, skład papieru i dewocyonalii, oraz w Chełmży skład cygar i papierosów z powodu banicyi właściciela, obarczonego rodziną i 80-cioletnim teściem. Ponieważ właściciel-banita skład

zwinąć musi do 1-go października r. b. więc wyprzedaje towary po cenach zakupna. (Patrz odnośne ogłoszenia.)

Na wystawie lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie odznaczone zostały także złotym medalem, prócz już wymienionych w piśmie naszem firm, znakomite piwa z browaru p. Wł. Rabskiego w Miłosławiu.

Na elementarze polskie dla biednych dzieci złożyli na ręce nasze pp. M. Czajczyński, J. Czyszka, A. Grandkowski, St. Fischbach, D. Mędlewski, K. Mórkowski i E. Zołdakiewicz, wszyscy z Poznania, po 50 fen. razem 3 m. 50 fen.

Dalsze składki na cel ten tak szlachetny przyjmujemy jak najchętniej.

Chrzest i ślub. Dnia 8-go b. m. został ochrzczony w swem pomieszkaniu w Poznaniu na Ostrówku nr. 20 sparaliżowany p. Kantorowicz, dotychczas wyznania mojżeszowego. Obrzędu tego dopełnił ks. proboszcz Michalski. Zaraz po chrzcie nastąpił również w mieszkaniu ślub p. Kantorowicza z dotychczasową jego posługaczką Parzakową. Dla spisania odnośnego aktu cywilnego zjechało dwóch urzędników magistratu.

Wągrowiec. W ubiegłą niedzielę urządziło tutejsze Koło śpiewackie wycieczkę w celu zwiedzenia cudnego parku w Redgoszczy. Jak potrzebnemi są takie wycieczki ku podniesieniu ducha towarzyskiego dowodzi wielka liczba ochotników. Ani jednego nie brakło śpiewaka, a w wycieczce wziął także udział oddział kołowników „Sokoła“, którego przewodniczącym jest p. Janta Połczyński. Wyruszyliśmy z Wągrówca około godziny 2. Około 4½ stanęliśmy przed dworem. Na ganku oczekiwał już czcigodny gospodarz, aby nas powitać i przyjąć, a zarazem służyć nam za przewodnika po parku, bez którego niemal zabłądzićby można.

Właściciel jego poświęcił obszerny około swego dworu kawał ziemi żwirowaty, położony nad wybrzeżem wielkiego jeziora nie wiele co wartej pod względem wydajności, ale nadzwyczaj fantastycznego położenia, najeżonej wysepkami, wzniesieniami, to znów rozpadlinami i wklęsłościami; z którego umiejętna ręka i staranność gospodarza w przeciągu lat 20 doprowadziła do prawdziwie rajskich piękności. Bo jakżeż bliżej opisać owe piękne gazony przedpałacowe ozdobione posągami i ogrodzeniami, owe ganki wijące się wśród gęstego żywopłotu, jakieś kapliczki podziemne, do których z zwyczajnego kwarca gładko ułożonego wiodą schody, owe sklepienia pomostów łączących dwa urwiska z kapryśną fantazyą wybudowanych. W samej zaś kończynie po za jeziorem trzciną zarosłem, gęsto zamieszkałem ptactwem wodnem wznosi się ładna w stylu romańskim wzniesiona balustrada, którą gospodarz Belwederem nazywa, z niej piękny roztacza się widok na dwór i park. Balustrada posiada wskutek obsadzenia w rozmaitych rzędach drzewami akustykę iście górską, powtarzającą echo po 3 do 5 razy. Śpiewało tu „Koło śpiewackie“, a pieśń przy wieczornej ciszy płynęła aż do zamku.

Gospodarz zaś wraz z swemi dziećmi wszystkich przyjął z piastowską gościnnością, za co mu też na końcu bardzo serdecznie prezes „Koła“ wraz z naczelnikiem kołowników podziękowali, cząc zarazem i czcigodnego brata gospodarza, p. posła R. Jantę Połczyńskiego, z swym synem przybyłego z wizytą do niego.

Szanowny gospodarz odebrał majątek poprzednią dzierżawą spustoszony, zaszargany — i mimo ciężkiej gospodarki na naszych piaskach, majątek swój utrzymał, podniósł w kulturze, zaprowadził możliwy porządek i akuratność. Lubo jak pustelnik tworzy oazę polską wśród morza kolonizacyjnego, utrzyma się i swemu potomstwu w spuściźnie majątek zostawi. Pożycie między wsią a dworem panuje patryarchalne, bo na pierwszy dźwięk pieśni zeszli się starzy i młodzi, dziewczęta i chłopcy do parku, oblegając jak pszczoły pana swego i drużynę śpiewacko-muzyczną, gdyż i skrzypiec nie brakło.

Jeden z uczestników podziękował na odjezdnem za szczerą, serdeczną gościnę gospodarzowi i jego rodzinie; poczem z pieśnią ruszono do domu.

Wspomnienia tej pięknej wycieczki pozostaną nam na długo w najmilszej pamięci. Za wszystkie trudy i wydatki około przyjęcia raz jeszcze serdeczne „Bóg zapłać!“

Heidelberga. Na uniwersytecie tutejszym zdali egzamin na doktorów obojga praw, p. Roman Lewandowski, syn pani radczyni z Ziołeckich Lewandowskiej z Kłon, oraz referendaryusz p. Zygmunt Koehler, starszy syn radzcostwa Koehlerów z Poznania.

Zmarli:

† S. p. Franciszek Steinmetz, uzdolniony artysta, który pracował pod kierownictwem p. B. Łaszczyńskiego przy freskach w katedrze poznańskiej, zmarł dnia 13-go b. m. rano w Srodzie w sile wieku, licząc zaledwie 35 lat życia. R. i. p.

Zmarły wykonał także wiele pięknych rysunków dla „Pracy“. Nieboszczyk był dobrym Polakiem i gorącym patryotą. Nieutulonej w żalu żonie i familii przesyłamy wyrazy naszego serdecznego współczucia. — Red. „Pracy“.

† S. p. Ferdynand Marten, długoletni nauczyciel gimnazyalny w Trzemesznie, Poznaniu i Ostrowie, zmarł dnia 10-go b. m. Ostrowie po długich cierpieniach na ręku swego syna pana dr. Wacława Martena. Zmarły był gorącym Polakiem i brał udział w ruchu narodowym w roku 1848. Jako nauczyciel gimnazyalny był specyalistą w matematyce i doskonałym botanikiem. Mało kto jak on znał florę naszej dzielnicy. Skromny jak był, nigdy nie występował zewnętrznie. Cześć jego pamięci!

Od Redakcyi.

Z. K. Lwów. Na razie jesteśmy zaopatrzeni. Autorzy nadsyłają nam tego rodzaju artykuły bezinteresownie.

Panu Michałowi Lichwie w Krukienicach (Galicya). Prenumeratę czyli przedpłatę tak na „Pracę“ jak też na „Czytelnię Polską“ zobowiązana jest przyjąć każda poczta w Galicyi. W razie odmowy zażal się Pan do dyrekcyi poczty we Lwowie.

Pani Stanisławie G. w St. Z powodu rewizyi policyjnych i konfiskat manuskryptu wiadomego odszukać nie mogliśmy. Ponowimy jeszcze poszukiwania i jeżeli go odnajdziemy, zwrócimy go Szanownej Pani.

Pani M. Gr. Wiersza „Z obecnej chwili“, omawiającego zbyt namacalnie sprawę czysto prywatną czyli osobistą, umieścić nie możemy.

P. M. Czapla, Inowrocław. Prosimy zgłosić się w tej sprawie do księgarni W Leitgebra w Poznaniu, ul. Wilhelmowska. My wiadomej książki nie mamy.

Humorystyka.

Cześć wintowi.

Sonet.

Jakież dziwne przy kartach nastały ma-[niery,
Przy zielonym stoliku ciągną się dysputy,
Każden inne do grania zachwala atuty:
Tu *piki* deklarują, tam *trefle*, tam *kiery*.

A ktoś czwarty zawoła: Ja gram *bez kozery*‘
I słyszysz tylko kłótnie i ciągłe zarzuty:
Hasło walki karcianej brzmi nad wszyst-[kie nuty.
Wreszcie gra się ustala, będą grać *na cztery*.

Już ucichła wintowej licytacyi burza,
I gra się rozpoczyna w straszliwem za-[cięciu,
Lecz w otchłaniach ruiny partnerów zanurza,

Bo *płatkę* zapisują, tam leżą *bez pięciu*!
A jednak grają dalej od rana do zmroku.
O, wincie! ileż w sobie posiadasz uroku!

P. M.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

CYGARO

w cenie hurtownej 15—25% taniej jak detalicznie, polecam ako bardzo ulubione, wybornego smaku następujące gatunki:

Intelecto	za 100	sztuk	2,50	m.
Alma	„ 100	„	2,75	„
La Plata	„ 100	„	3,00	„
Fides	„ 100	„	3,30	„
Quodlibet	„ 100	„	3,50	„
Carino	„ 100	„	4,00	„
Birma	„ 100	„	4,50	„
Berolina	„ 100	„	5,00	„
Lopez	„ 100	„	6,00	„
Carmen	„ 100	„	7,00	„
La Rosedor	100	„	8,00	„
La Espanola	100	„	10,00	„

Oprócz powyższych polecam mój wielki zapas dobrze odleżałych cygar, zwłaszcza tańszych dla sprzedających z drugiej ręki. Przy odbiorze 300 sztuk wysyłam franco. Papierosy, tytunie tureckie i rosyjskie oraz gilzy w wielkim wyborze poleca 75

T. Łaganowski, Poznań, Chwaliszewo nr. 2.

Spółka Stolarska
w Swarzędzu

poleca swój 411

wielki

magazyn mebli

z dobrego materyału i własnego wyrobu.

Ceny przystępne. Usługa skora.

Najtańsze źródło zakupna dla sprzedających z drugiej ręki.

Hyacynty
w dziesięciu kolorach

(prawdziwe haarlemskie) mianowicie 2 białe, 2 czerwone, 2 niebieskie, 2 żółte, 1 różowy, 1 purpurowy po 1,50 mk. do loniczek po 2 mk. do naczyń szklanych. Szczególniej polecam moje słynne **hyacynty z nazwiskami** i to 10 sztuk w dziesięciu przepysznych gatunkach do doniczek po 3 mk., do naczyń szklanych po 4 mk. **Hyacynty z nazwiskami są najlepsze!** Broszurkę moją, ozdobną w piękną kolorową rycinę, przedstawiającą hyacynty, dołączam gratis do zamówień, bez zamówienia za nadesłaniem **30 fen.** 420

Friedr. Huck w Erfurcie
(Erfurt 27 e).

Adres telegr.: **Hyazinthenhuck.**

Zielona Apteka
Edmunda Dzierzgowskiego
Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajowe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących. 1½ minuty od placu Piotra.

„Każdy chory“

odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadesłać pod lit. **T. D. 409.** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409.



Najlepszy środek na włosy! Javol nadaje włosom zupełną piękność, czyni je miękkiemi jak jedwab, nadzwyczaj bujnemi i falistemi. 806

Wskutek swoich szczególnych przymiotów utrzymuje naturalny kolor włosów do sędziwego wieku i zapobiega siwiźnie.

Cena flaszki 2 mk.

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych parfumeryach, drogeryach, także w wielu aptekach

Do nabycia w Koźminie: w aptece p. Balcerka i w drogeryi I. F. Grochowski Nast.

Wąs okazały!



Kto jeszcze nie posiada tej najpiękniejszej ozdoby każdego mężczyzny, ten niech użyje mego słynnego na świat cały balsamu do wąsów **„Kommelin.“** **Skutek pod gwarancyą w kilku tygodniach.** Cena za puszkę Nr. I. 2 m., Nr. II. 3 m., Nr. III. 5 m. Porto 20 fen., zaliczka 20 fen. więcej. **Żadne oszustwo**, jak dowodzi następujące pismo uznania: Pewien pan E. Laurenz, kantyna strzelców w Ortelsb. pisze pod dniem 9-go lipca 1900. Ponieważ Pański **„Kommelin“** już u mnie okazał się skutecznym, zatem proszę **o jeszcze jedną puszkę Nr. II.** Do każdej przesyłki dołącza się przepis użycia. Tylko prawdziwy do nabycia u **Roberta Husberg, Neuenrade** Nr. 30, Westfalia. W razie skutku niepomyślnego zwraca się należytość. 458

Tylko kapsułki Sanidowe

(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057

Skład główny: **L. Hofmann**, apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Pewna egzystencya!
Księgarnia,
skład papieru i dewocyonalii

jest w Prusach Zachodnich dla braku zdrowia zaraz do sprzedania. Oferty uprasza się przysłać do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **P. nr. 464.**

Nieszczęśliwy komedyopisarz.

— To okropne, dopiero piszę nową komedyę, a tu już wiatr wygwizduje na dworze.

Reklama.

— Biorę te kamasze, ale czy one są dobre?

— Czy dobre?... Niechno pan jeno ponosi, a ręczę, że niezadługo znowu do mnie po nowe przyjdzie.

W szkole.

— Co to trzymasz?

— Nic.

— Rzuć mi to zaraz.

Wszelkie druki

wykonuje gustownie i po umiarkowanych cenach

Drukarnia „Pracy“
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

Liczył baby.

Szewczyk liczy po cichu; pytany przez majstra, co rachuje, odpowiada, że złe baby w domu. — Ileżeś ich narachował? — pyta majster. — Z panią majstrową siedm. — Majster do kija, a chłopak w strachu woła: bez pani majstrowej tylko sześć!

Odmowa.

— Ratując moją córkę tonącą, dałeś pan dowód niesłychanej odwagi, na dowód więc wdzięczności — daję ci ją za żonę.

— Dziękuję, ale przyznam się otwarcie, że w tym wypadku sambym utonął — zgodzisz się pan, że życie mi jest droższe.

Tapety

w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190

Elblądzki interes wysyłkowy tapet

C. Guintern, Elbląg (Elbing).

Gimnazyastów

młodszych przyjmuje się na stół i stancyą, zaręczając sumienną opiekę i dozór w naukach przez **prymanera.**

Tenże **prymaner** pragnie także **udzielać lekcyi.** Łaskawe oferty uprasza się do ekspedycyi „Pracy“ pod lit. **S. Z. 439.**



Nadarza się sposobność dla Rodaka. W powiatowem mieście jest pod korzystnemi warunkami z powodu stosunków familijnych zaraz lub później na sprzedaż

kamienica,

w której się znajduje od lat 17 z dobrem powodzeniem handel towarów kolonialnych połączony z handlem mąki, osucia, nasion, zboża i sztucznych nawozów.

Łask. oferty upr. się do Eksp. „Pracy“ pod nr. 1000.

Korzystne kupno
dla młynarza.

Wodny młyn, 1 klm. od kościoła, dobra klientela, 100 mg. roli, do tego 80 mórg łąk do opławienia, w bardzo dobrym stanie, natychmiast do nabycia z wolnej ręki z powodu podeszłych lat właściciela. — Wpłaty 12,000 mk., hypoteka stała. Zgłosz. przyjm. ekspedycya „Pracy“ p. l. **K. 424.**

Fröblanki I Kl.

poszukuję zaraz do czworga dzieci 9, 8, 6, 1½ roku do Berlina — bliższe wiad. udz. Eksp. „Pracy“ p. l. B. nr. 450.

Dwóch zdolnych 468

pom. introligatorskich

na stałe zatrudnienie, jako i **dwóch uczni** przyjmie od zaraz lub później **K. Kmiecikowski,** Introligatornia Poznańska i fabryka zeszytów, Poznań, ul. Wodna nr. 2, I.

Ucznia

przyjmie od 1 października rb.

Bogdan Kiełmiński,
introligator w Nakle,
(Nakel-Netze). 462

Do mego handlu win, towarów korzennych, łakoci, cygar, nasion i nawozów sztucznych poszukuję

ucznia.

Czas nauki bezpłatnie 3 lata. **Felix Orlicki,** Pyskowice G/S. (Peiskretscham O/S.) 449

Pokój meblowany

dla 2 panów, z stołowaniem 50 mrk. miesięcznie, od 1-go sierp. do wynajęcia

Poznań, ul. Długa 11,
parter na prawo.

OGRODNIK

kaw. późniejsze ożenienie dozwolone, z lepszem wykształceniem ogrodniczem potrzebny od 1-go września z pensyą około 1000 mk. i wolne utrzymanie. Kandydaci, którzy prześli szkołę ogrodniczą mają pierwszeństwo. Zgłoszenia przyjmuje Centralne biuro zleceń, Poznań, Rycerska 38.

Do mego składu 455

żelaza, szkła i porcelany

poszukuje od 1 października b. r. młodego

pomocnika

biegłego ekspedyenta.

I. Strojny.

Skład żelaza szkła i porcelany. Pr. Starogard. (Pr. Stargard.)

4 zdolnych czeladników stolarskich na budowlaną robotę potrzebuję od zaraz jako i każdego czasu. **Borecki,** magazyn mebli i trumien z drzewa i metalu, we Wrześni. 448

UCZNIA

z odpowiednim wykształceniem syna uczciwych rodziców przyjmie zaraz lub od 1. 10. t. r. 444

W. Barański, Gębice, Destylacya, handel towarów kolonialnych, delikatesów, win i cygar.

Dobry pomysł.

A.: — Dla czego ciągle chodzisz z narzeczoną na dworzec?

B.: — Bo najłatwiej możemy się tam całować, a ludzie myślą, że się żegnamy.

Na poczcie.

Młoda osoba: „Proszę o list z cyfrą „D. 100.“

Urzędnik: „Takiego listu nie ma, ale jest jeden z cyfrą „D. D. 100“

— „To ten właśnie; mój narzeczony bowiem jąka się cokolwiek.“

Skład

duży z wielkiem oknem wystawnem w większym mieście w bliskości rynku w ożywionej ulicy jest zaraz do wynajęcia. Zgł. przyj. Eksp. „Pracy“ pod lit. G. nr. 454.

W sądzie.

Obrońca: Świetny sądzie, oskarżony o rabunek jest człowiekiem skromnym, dowodem czego, że włamał się do składu sukna, wiedząc o tem, że obok jest skład jubilerski.

Folwark 400-morgowy

resztkę z parcelacyi, której już dalej dzielić nie można, **pomieniamy** na większe **gospodarstwo we wsi, gdzie parcelacya możliwa.** Folwark nasz ma 300 mórg dobrej roli i 100 mórg pięknych łąk, z podwórzem w samym środku gruntu, inwentarze tak żywe jak i martwe znakomite. Jest też tam 8-morgowe rybne jeziórko i polowanie świetne. 469

Cena 90,000 marek, a reflektant, chcący się pomieniać, powinien mieć majątku w swojem gospodarstwie 20—40 tysięcy marek.

Bank Parcelacyjny

w Poznaniu, Piekary 18.

Oldenburg. wesermarskie buhaje

rozpłodowe,

wysokocielne krowy i jałowice

franko do każdej stacyi dostarcza 989

Oldenburger Wesermarsch-Vieh-Absatz-Genossenschaft e. G. m. u. H. Ellwürden, Grhgth. Oldenburg.

Pan **A. G. Lange w Ostrowie,** posiedziciel mleczarni, przyjmuje zamówienia.

Polecam się do zakładania **ogrodów, parków i utrzymywania ich w porządku, cięcia drzew i innych robót ogrodniczych.**

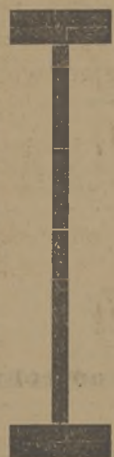
Również mam zamiar zadzierżawić **2 morgi ziemi.**

Oferty proszę przesłać do ekspedycyi „Pracy" pod lit. **M. K. Nr. 441.** 441

Chcąc się w przyszłości poświęcić wyłącznie instalacyi elektrycznej, **wyprzedaję** od 1-go lipca wszelkie **towary** wchodzące w zakres **optyki, mechaniki i kołownictwa** po każdej możliwej cenie. W danym razie gotów jestem **sprzedać od razu** rzeczone wydziały przedsiębiorstwa mego dające **utrzymanie dostateczne dla rodziny.**

F. BISKUPSKI, Poznań, Berlińska ul. 11.

Firma fundowana 1880 roku.



Podciągi (tragarze) filary, okna

i wszelkie inne artykuły do budowli

poleca 72

w wielkim wyborze i po przystępnych cenach

T. Krzyżanowski,

Poznań,

Szewska ul. 17.

Osiadłem w Toruniu

Mieszkam przy ulicy Szerokiej Nr. 39.

Szuman, adwokat.

442

Wieś

rycerska, ca. 915 mórg incl. ca. 100 mórg przepysznych łąk, ziemia od skiby do skiby pszenna i w kulturze, tylko 4 klm. od dworca i to szosą, budynki znakomite, masyw i prawie nowe, dobry inwentarz, świetne urodzaje, gospodarstwo wzorowe, jedynie dla podeszłego wieku na sprzedaż i to już przy zaliczce 40,000 mk., lecz tylko rodakowi; reszta pieniędzy pozostaje na długie lata.

Na majątku — który słusznie uchodzi za perłę całej okolicy — ciąży tylko landszafta.

Drwęski & Langner,

Centralna Agentura Dóbr

w Poznaniu, Rycerska 38.

Kołdry

(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.



Edmund Paulus

Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrem wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 338

Fabryka mydeł

domowych, technicznych i toaletowych (jedyna istniejąca polska) jest

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie.

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

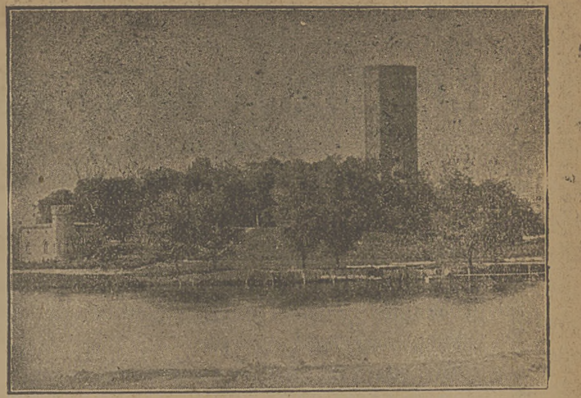
dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny

Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.



Restauracya pod Myszą wieżą.

Szanownym Towarzystwom, Panom kołownikom, Kółkom familijnym itd. polecam mój przy jeziorze Gople położony

piękny ogród z kręgielnią i salą do tańca.

Lubownikom sportu polecam moje **łodzie do przejażdżek po jeziorze.** 399

Przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Uniżony

M. Degórski, Kruświca.

Telefon nr. 32.

Patenty na wynalazki

wyjednywa i sprzedaje we wszystkich krajach

inżynier K. Ossowski,

Międzynarodowe Biuro Patentowe,

w Berlinie W., Potsdamerstrasse 3.

Żona: „Ciągle opowiadasz o poświęceniu się i tym podobnych rzeczach; powiedz mi raz przecież, mój drogi, jaką ofiarę poniosłeś dla ludzkości?"

Mąż: Czy się z tobą nie ożeniłem?"

B. Sadowski,

jedyny polski fachowy zegarmistrz

w Krotoszynie (Krotoschin).



poleca prawdziwie dobre zegarki, zegary i t. d. Zegarki męzkie, srebrne, rem. lub klucz. po 7,50, 9, 11, 13, 15, 18 do 30 mk. Zegarki srebrne z wizerunkiem Matki Bozkiej rem. lub klucz. po 10, 12, 14, 17, 21 i 23 mk. Zegarki damskie złote po 15, 18, 21, 25 do 100 mk. Regulatory, zegary stołowe i ścienne, budziki, tylko w najlepszych gatunkach. Obrączki ślubne, pierścionki, broszki, kolczyki, krzyżyki etc. w wielkim wyborze. Ceny tanie! Gwarancya długoletn. Wymiana towarów dozwolona. Cennik wysełam darmo i franko. Ażeby uniknąć pomyłki, proszę bacznie zważać na firmę, ponieważ istnieje tu jeszcze jeden skład zegarów z podobnym nazwiskiem, prowadzony przez niefachowca 463

Z powodu wydalenia po 30-letnim pobycie z państwa pruskiego, zmuszony jestem mój przed rokiem założony i bogato zaopatrzony 456

skład cygar, papierosów i t. d.

do 1. 10. r. b. zwinąć.

Przeto odtąd oddaję towary powyższe po cenach zakupna, przy przejęciu zaś całego interesu przy gotówce ofiaruję 10%. Dla rodaka pewna egzystencya. Polecając się łaskawym względom, kreślę się z wysokim szacunkiem

M. Grzegorzewski, Chełmża.

Hurtownie i detalicznie.

Centralna Drogerya J. Czepczyński

I. skład: Poznań, Stary Rynek Nr. 8.
II. skład: Inowrocław, ulica Fryderykowska Nr. 1.

poleca po znanych tanich cenach w doborowych gatunkach:

Oliwę do maszyn,
Tłuszcz Tevota,
Tłuszcz przeciw spadaniu pasów,
Dwusiarczyk wapna,
Sodę angielską i kalcynowaną,
Konopie do maszyn,
Szczotki i pendzle do gorzelni,
Tran, łój i wszelkie smarowidła na skóry,
Petroleum amerykańskie.

Farby, pokosty, lakiery krajowe i angielskie.
Linie malarskie,
Szablony w wielkim wyborze,
Pendzle i szczotki malarskie,
Kleje, Szelak,
Okowitę do politury,
Olej do ślifowania,
Kit do okien. 117

Telefon Nr. 238.

Zamówienia po nad 10 marek wysełam franco pocztą lub też koleją odwrotnie.

Specyalność: Farby i lakiery na posadzki.

Mydła i artykuły do prania i oświetlania.

F. X. DRZEWIECKI,
ślósarz, 445
Gniezno, ul. Rzeźnicka Nr. 1
poleca się do wykonywania robót w zakres ślósarstwa wchodzących.
Specyalność:
Zakładanie dzwonków elektrycznych i telefonów, mając rozmaite przedmioty do wyboru w zapasie.

Warsztat i skład obuwia
dla panów, pań i dzieci
Karola Ptschyody,
mistrza szewskiego
Gniezno, ul. Wilhelmowska nr. 14.
Wielki wybór
obuwia sezonowego
wszelkiego rodzaju.
Specyalność: obuwie dla cierpiących na nogi. Zamówienia na miarę wykonuję skoro i rzetelnie. Wyporządzania odrabiam szybko i zgrabnie.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, 52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena m. 1,80, z przesyłką 2 m. Za nadesłaniem należytości posyłka odwr. pocztą.

Powróciłem.
Dr. Adam Karwowski
lekarz specyalista
w chorobach skórnych i pęcherza.
Poznań, św. Marcin 58.

Inteligentny Górnoślązak, 21 lat liczący, sympatycznej powierzchowności, posiadający własny interes w jednem z największych miast na Górnym Śląźku, pragnący się ożenić z Polką, szuka na tej drodze odpowiedniej, pochodzącej z porządnej familii 453

towarzyszki życia.

Łaskawe rodaczki wieku do 25 lat, posiadające ca. 6000 marek majątku, mające chęć reflektować na niniejsze ogłoszenie, niech z całem zaufaniem raczą nadesłać w przeciągu czternastu dni łaskawe oferty pod lit. B. 453 do Eksp. „Pracy“. Z ścisłą dyskrecyą ręczy się honorem. Pośrednictwo oprócz rodziców lub opiekunów dla innych wykluczone. Anonimy się wyprasza.

„Levana“
państw. konces.
Zakład naukowy i wychowawczy
w Kötitz-Coswig i S.
pod Dreznem.

Przygotowywania w oddziałach i pojedyńczo
do wszystkich klas wyższych zakładów naukowych!
Osobne kursa dla jednorocznych i podchorążych!
Wydziały specyalne dla:
a) słabopojmujących i niezdolnych do uzysk. promocyi uczniów.
b) umysłowo zacofanych, ale jeszcze zdolnych do wykształcenia chłopców. 157

Szybkie i pewne skutki! Jednostkowe wychowanie!
Najsurowszy porządek domowy! Znakomita pensya!
Przyjęcie każdego czasu. — Prospekta wysyła Dyrekcya.

Ogrodnik, rodak, kawaler w średnim wieku, wykształcony teoretycznie i praktycznie w swym zawodzie, zapytuje się i prosi, gdzieby z powodzeniem mógł osiedlić się jako ogrodnik handlowy, najchętniej życzyłby sobie

ożenić się

w podobne przedsiębiorstwo, w polskiej okolicy, w jednem z więcej ożywionych miast Księztwa, Prus Zachodnich lub Śląska. Znalazłaby się może osoba, **panna lub wdowa** przystojna i miłej powierzchowności, posiadająca znaczniejszy majątek, którejby nie chodziło tak o również podobny majątek, jak raczej o uszczęśliwienie człowieka uczciwego, porządnego i fachowego, z którymby bez wahania mogła zawrzeć stan małżeński. Za dyskrecyą ręczy się słowem honoru. Zgłoszenia przyjmuje się pod adresem **„Flora“ 37** poste restante **Kotowiecko.** 461

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Nowość! Nowość!
15 rozmaitych
kart korespondencyjnych
z widokami zdjętemi z obrazów Jana Matejki w pięknej teczce, która może być ozdobą każdego salonu, poleca
za tylko 1 markę.
Skład papieru i materyałów piśmiennych
„Atlas“
W. Kostrzewski,
Poznań, Stary Rynek nr. 48.

Za poprz. nadesłaniem 1 Mr. wysyłka franco.

Dla Narzeczonych!!
Bardzo wiele pieniędzy
zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuteryą żąda mego katalogu. 297
J. Strzelecki, Mogilno,
(filia w Inowrocławiu).

Powróciłem.
Dr. Stasiński
okulista 467
Poznań, plac Piotra 4.

Chce się ożenić 37-letni wdowiec, domator, przystojny, inteligentny, zamieszkały w Galicyi w mieście pow. Mam 2 córki i dwóch synów od 9—14 lat. Jestem na posadzie stałej rządowej (zajęty 3 dni tygodniowo) z płacą miesięczną 140 koron i z prawem awansu. W mieście tem chcę założyć sklep bławatny, gdzieby żona i dzieci mogły mieć zajęcie. Panny od 20 do 30 lat lub bezdzietne wdowy choćby starsze i miłej powierzchowności, z taktem i stałego charakteru, usposobienia łagodnego, zdrowe, z posagiem około 1000 marek, jednakże tylko Polki, raczą się zgłosić do p. **Apolonii Stachowiak, Poznań, Małe Garbary 15,** pod najściślejszą dyskrecyą. 457

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.
Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Powróciłem.
Dr. Chrzanowski
specyalista 460
w chorobach kobiecych i położnictwie,
Poznań, św. Marcin 55.
Przyjmuje:
od 10—12 i od $3^1/_2$—5.

Przemysłowiec, Polak, kawaler, miłej powierzchowności, w wieku 25 lat, mający rocznie 1500 marek oprócz mniejszych pobocznych dochodów, szuka dla braku znajomości pań, na tej drodze

towarzyszki życia.

Panny lub młode wdowy raczą złożyć łaskawe oferty z dołączeniem fotografii w eksp. „Pracy“ pod lit. A. C. 100. Dyskrecya rzecz honoru. Anonimy się wyprasza.